

● FINAŁ „SPRAWY BIERUTA” ● GENERAL SMORAWIŃSKI ● GORĄCE WILNO ● PODRÓŻ DO LWOWA ● FIZYK W GANDAWIE ● NOTATNIK ANGIELSKI ● POLONIA I... POLSKA ● CZY NA SŁAWINKU TRUJĄ? ● SPALIŁEM OJCA W PIECU

TYGODNIK
WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 29 VI - 5 VII 1989 R.

NR 24

CENA 70 ZŁ

GORĄCE WILNO

DOM

Henryk Makarski

DOMU już nie ma. Miejsce po domu rozpychają ciężkie ciągniki, szarpia metr po metrze, żłobią koryto nowoczesnej drogi. Autostradę wytyczono dokładnie przez podwórko Mieczkowskich. Ocalała tylko jodła, cudem jakimś wyniosła trwająca na skraju sztucznego urwiska wyoranego przez spychacze.

— Ja ją sadziłem w dzieciństwie. Jak runie jodła moja, runę i ja... — popada w melancholię Romek, dziennikarz wileńskiej TV, dodający zawsze, że nazwisko jego rodu od miecza pochodzi, nie od mieszka. U podnóża jodły próchnieje przywalony bierwionem świątek.

— Wyrzeźbiłem go kiedyś, by strzegł domostwa... — kiwa głową Wladek, lekarz mikrochirurg.

Przedzieramy się przez pokrzywy, rozpanoszone już wyżej chłopca. Badyle zdziczałych malin chwytają nas za ręce.

— W studni źródłana woda, tak zimna, aż paruje na powietrzu.

Ale poczęstunku nie będzie, kłódka wisi na studziennym okapie.

— Sad jednak kwitnie. Znaczą się, życie tak całkiem nie uciekło stąd. A ojciec nasz to sad okrutnie lubił, ze sto wisienek tu doglądał. W sadzie pasieka stała. Ojciec, jak w niej się zasłuchał, to i godzinę mógł przesiedzieć, o świecie zapomniawszy.

— Tak, jak ten sad kańcza się, to była posiadłość ciotki. Te nasza siatka widzi? No, ta nasza siatka to prosto płot sąsiedzki. A za płotem domki dwa ocalały, Szafranowiczów i Kamonowiczów, jak te dwie sieroty na ironię losu, w kurzu szarpanej drogi i łoskocie spychaczy...

— A wystarczyło dwadzieścia metrów w bok przesunąć planowaną autostradę i cała wieś by ocalała. Ale ona ocaleć nie miała prawa, bo od pokoleń polska, co do jednej kropli krwi tak polska, że się Ruski ani Litowiec wściubić pomiędzy nas nie dał rady ani zaden...

Fabianiszaj, czyli Fabiana nizina. Do niedawna wieś, dzisiaj dzielnica Wilna. Pewien hrabia miał trzy córki: Karolinę, Justynę i Urszulę, oraz syna Fabiana. Podzielił swoje dobra pomiędzy dzieci, i tak powstały: Karoliniszki, Justyniszki, Urszuliszki i Fabianiszki. Nawet karczma przy wiejskich rogatkach nosiła Fabiana imię. Fabianiszki ciągnęły się od Szeszkińskiego wązkiego 3-kilometrowym pasem. Ponad 100



Wilno, cmentarz na Rossie. Grób, w którym spoczywa matka Józefa Piłsudskiego i serce Syna.

Fot. Romuald Mieczkowski

domków, w których tylko po polsku od wieków rozmawiano.

— Święta to u nas obchodzono uroczyście, patriotycznie. Wynosiło się adapter z głośnikiem na ganek, polska muzyka grała. Sąsiedzi też włączali wtedy, co kto miał, na ławeczkach siadłszy się śpiewało. Albo przed dom wychodzili, przez sad się kłaniawszy... Do sąsiada ani do żadnego sądu sąsiad na sąsiada nie chodził.

— Najbardziej mi szkoda tego lasu — wzdycha Wladek, kiedy próbujemy przejść świeżo wyasfaltowaną jezdnią,

a rozgrzana majowym słońcem smółka klei się do butów. — Teraz zostały z niego tylko marne krzaki. Ale kiedyś? Dziwna rzecz, dlaczego sosny miały tu najczęściej podwójne wierzchołki? Otóż pradziad ścinał wierzchołki małych sosenek i spalał dwa drzewka, żywicy żeby więcej się rodziło. Takie napęczniałe żywicą bierwiona były dobrym budulcem, robak się ich nie imał. Nazywało się to „smolić sosny”... Czy to prawda? Leśnikiem nie jestem, ale tak się u nas w rodzinie z pokolenia na pokolenie przekazywało, a po próżnicy przecie by nie gadali.

GENERACJE

W domu, którego już nie ma, wychowało się kilka pokoleń. Zbudował go pradziad Władysława i Romualda, Jan Mieczkowski. Jan musiał się wyprowadzić z Wilna i podzielić los chłopca. Osiadł we wsi Wilnu najbliższej, to znaczy w Fabianiszkach. Miał dwóch synów: Władysława i Franciszka. Urodzony w 1895 r. Władysław, właściciel dwóch młynów i restauracji w Wilnie, został wywieziony do Donbasu, a po-

Dokończenie na str. 11

relacje

ZE ŚWIATA

■ W CHINACH wykonane zostały kolejne wyroki śmierci. Rozstrzelano siedem osób (sąd najwyższej instancji w Pekinie odrzucił prośbę o złagodzenie kary) oskarżonych i skazanych za „podpalenie wojskowych samochodów i zabójstwo żołnierzy podczas kontrrewolucyjnej rebelii w stolicy”.

Premier Li Peng stwierdził, iż główną przyczyną kontrrewolucyjnej rebelii było to, że „niektórym w kraju i za granicą nie podoba się ustrój socjalistyczny i kierownicza rola KPCh”.

Podejmowane przez niektóre państwa próby wywierania na Chiny nacisków za pomocą środków politycznych i ekonomicznych, władze chińskie określiły jako nierozsądne i bezcelowe.

■ MIMO OBOWIĄZYWANIA GODZINY MILICYJNEJ w kazachskiej miejscowości Nowy Uzień dochodzi do demonstracji, których uczestnicy domagają się zlikwidowania kartek na produkty żywnościowe, zatrudnienia młodzieży (ok. 2 tys. młodych ludzi to praktycznie bezrobotni; zakłady pracują na jedną zmianę), wycofania oddziałów milicji i wysiedlenia osób narodowości kaukaskich.

Nowym ogniskiem napięć w ZSRR jest stolica Kirgizji — Frunze. Tysią-

ce ludzi samowolnie zajmują ziemie państwowe i kolchozów, stawiają namioty i jurty, rozpoczynają budowę domów. Powodem deficytu mieszkań w stolicy Kirgizji jest w dużym stopniu skierowanie środków na budowę marmurowych gmachów partyjnych i państwowych, gigantycznych muzeów i pomników, zamiast na „mieszkańców”.

■ Z URZĘDU KANCLERSKIEGO dostały się do prasy „przecieki” (podobno świadome) na temat stanu rokowań RFN z Polską. Z publikacji wynika, że federalny minister finansów wyraził zgodę na tzw. „złotyację” spłaty kredytu w wysokości miliarda marek udzielonego Polsce w połowie lat 70. W praktyce oznaczałoby to przekształcenie kredytu w fundusz zlotówkowy, z którego byłyby finansowane w Polsce wspólne przedsięwzięcia.

Z tych samych źródeł wynika, że od dawna zapowiadana wizyta kanclerza Kohla w Polsce mieć będzie miejsce w dniach 17—19 lipca.

■ W PARKU MIEJSKIM w New Britten, koło Nowego Jorku, odsłonięto pomnik ks. Jerzego Popiełuszki.

Pomnik o kształcie płomienia wykonany jest z nierdzewnej stali, waży 7 ton i jest dziełem mieszkających tam Polaków.

■ OD ARESZTOWANIA wicepremiera Torralbasa i gen. Ochoa Sanchez (niedawno odznaczonego orderem Bohatera Rewolucji) rozpoczęła się na Kubie akcja przeciwko oficerom armii i MSW, którym zarzuca się powiązania z międzynarodową siecią handlarzy narkotyków, korupcję, defraudację (m. in. sprzedaż 1,5 mln ton cukru prywatnym kupcom z Angoli). Komentujący te wydarzenia nie wykluczają, że może tu chodzić o konflikt w łonie władz.

■ „BOIMY SIĘ, że partia się rozpadnie i sama się rozwiąże. Nie można wygrywać walk politycznych z udziałem członków, którzy utracili wiarę i z kierownictwem, które utraciło wiarygodność” — tak brzmi oświadczenie jednego z budapeszteńskich komitetów dzielnicowych Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej. Jesienią br. odbędzie się zjazd WSPR.

■ OD NOWEGO roku szkolnego nauczanie j. rosyjskiego na Węgrzech nie będzie obowiązkowe.

■ BELGRADZKA „Borba” opublikowała wyniki ankiety, w której posta-

wiono pytanie, czy system polityczny w Jugosławii jest dobry, czy też należałoby go zmienić i na czym te zmiany miałyby polegać. Tylko półtora procent opowiedziało się za zachowaniem dotychczasowego systemu.

■ WE FRANCJI znacznie trudniej będzie znaleźć zatrudnienie „na czarno”, co niewątpliwie zmartwi pewne grono rodaków. Otóż za naruszenie przepisów prawnych przewidziano karę więzienia do 2 lat (w przypadku recydywy — do 4 lat), grzywny wzrosły aż dziesięciokrotnie — do 200 tys. franków (ok. 30 tys. dolarów).

■ W BELGII uczyniono pierwszy krok do legalizacji przerywania ciąży. W myśl przyjętego projektu ustawy, wystarczającym uzasadnieniem sztucznego poronienia jest występująca u kobiety „głęboka i trwała odmowa” urodzenia dziecka.

■ W POŁOŻONYM nad Bałatonem turystycznym regionie Węgry już w lipcu uruchomiona zostanie — pierwsza w tym kraju — prywatna rozgłośnia telewizyjna. Program przekazywany będzie w języku węgierskim i niemieckim.

■ „NIE MA U NAS NIC, co należałoby zmienić” — powiedział w wywiadzie dla arabskiego pisma „Al Wahda News” prezydent Rumunii N. Ceausescu.

relacje

Z KRAJU

■ W SEJMIE I SENACIE strona opozycyjno-solidarnościowa dysponuje 260 mandatami poselskimi i senatorskimi, natomiast strona koalicyjna reprezentowana jest przez 299 posłów.

Przewodniczącym Klubu Poselskiego PZPR (176) został Marian Orzechowski, zaś Obywatelskiemu Klubowi Parlamentarnemu (260) przewodniczy Bronisław Geremek.

■ KTO I JAK będzie rządził w Polsce? Pytanie to, przewijające się w rozmowach Polek i Polaków, publicznie stawiają — jak dotąd — tylko dziennikarze.

D. Passent („Polityka” nr 25) pisze: „W konsekwentnie demokratycznym ustroju parlamentarnym, po takim wyniku wyborów jak w Polsce, władza oddycha z ulgą, pakuje się, opróżnia biurka i gabinety, a następnie udaje się na zasłużony odpoczynek, do pisania pamiętników, pracy naukowej, prywatnych korporacji, a ten, kto nie może żyć bez polityki — przystępuje do działania w opozycji. Z kolei politycy opozycyjni, chcąc nie chcąc, muszą się zabrać do rządzenia, gdyż taka jest wola większości”.

Z koalicyjno-opozycyjnych układanek dokonywanych przez publicystów, nijak nie chce powstać obraz rządu.

Stąd też pojawiają się postulaty (pisał o tym Jacek Kuroń w „Gazecie Wyborczej” i Karol Szwarc w „Życiu Gospodarczym”), by sformować ekipę z fachowców pozapartyjnych. Byłby to gabinet zgody narodowej, zaakceptowany przez obie strony.

Spekulacje, z personalnymi włączniami, trwają.

■ NA 40 TYS. TEGOROCZNYCH ABSOLWENTÓW wyższych uczelni czeka 53 tys. miejsc pracy w jednostkach gospodarki społecznej. W najtrudniejszej sytuacji będą humaniści (3,5 statystycznego absolwenta na 1 oferowane miejsce); lekarze, naukowcy, inżynierowie i ekonomiści liczyć mogą nie tylko na zatrudnienie, ale i mieszkanie, jeśli zdecydują się podjąć pracę na prowincji.

■ W KILKU MIASTACH (Wrocław, Katowice, Gdańsk, Poznań) miały miejsce manifestacje „Solidarności Walczącej” pod hasłami „skierowanymi przeciwko gen. Jaruzelskiemu, „okrągłemu stołowi”. Żądano wolnych wyborów.

■ NSZZ „Solidarność” skupia jak dotychczas 1,5—2 mln członków — poinformował J. Onyszkiewicz. Związek

powiększa swą liczebność stosunkowo powoli — dodał — ale jest to wynik poświęcenia wszystkich sił i środków przede wszystkim kampanii wyborczej.

■ KKW „SOLIDARNOŚĆ” podjęła uchwałę w sprawie wyborów do komisji zakładowych, przyjmując, że winny one odbyć się w oparciu o ordynację z 1980 r. i że powinny zakończyć się do 30 września br. Później „Solidarność” przystąpi do wyborów ciał regionalnych oraz przygotowania zjazdu krajowego.

Podjęto też uchwałę o likwidacji wojewódzkich Komitetów Obywatelskich powołanych na czas kampanii wyborczej. Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie nie zostaje rozwiązany.

■ LAWINOWA podwyżka cen. Za ledwie w ciągu kilku ostatnich dni zdrożały: cukier (z 210 do 350 zł); traktory (o 92,7 proc.), lodówki (o ok. 67 proc.), pralki automatyczne (o ok. 37 proc.), wyroby spirytusowe (średnio o 50 proc.), telewizory czarno-białe (przeciętnie o 50 proc.) oraz paliwa płynne (np. etylina 94 z 250 do 350 zł).

■ „AKTUALNE PODWYŻKI CEN” oraz pogłoski na temat kolejnych podwyżek mających mieć miejsce w najbliższym okresie grożą wybuchem społecznego niezadowolenia — z oświadczenia OPZZ.

■ PODWYŻKI CEN sprawiły, że podrożał dolar. W ciągu zaledwie

kilku dni cena jego podskoczyła z 4700 zł do 5700 zł. Panuje przekonanie, że do końca czerwca kosztować on będzie nie mniej, niż 7 tys. zł.

■ 10 MILIARDÓW DOLARÓW — to zastrzyk niezbędny polskiej gospodarce — orzekli przedstawiciele opozycji. O taką też sumę, rozłożoną na 3 lata, występują wobec Zachodu przedstawiciele „Solidarności”.

■ KOSZTY WYJAZDU jednej osoby na XIII Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w KRLD przekroczy 1 mln zł. Polska delegacja ma liczyć 328 osób.

■ MŁODZIEŻ spod znaku KPN, WiP, Federacji Młodzieży Walczącej, NZS oraz tzw. Międzymiastówki Anarchistycznej urządziła wiece w krakowskim Rynku Głównym. Następnie z okrzykami: „Sowieci do domu”, „Precz z komuną” — przeszła pod konsulatem radzieckim i Krakowski Komitet PZPR. Podobna manifestacja odbyła się w Warszawie. W obydwu przypadkach interweniowała milicja.

■ PROKURATURA WOJEWÓDZKA w Warszawie skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko 6 funkcjonariuszom WUSW Warszawa — Śródmieście, zarzucając im przyjmowanie stałych łapówek w zamian za „ochronę” nielegalnej działalności różnych gangów gospodarczych. Podobne śledztwo toczy się wobec grupy oficerów DUSW Praga-Północ i Praga-Południe.

relacje

Z REGIONU

■ W WYNIKU WYBORÓW (4 i 18 czerwca) nasz region w stuosobowym Senacie reprezentują: Andrzej A. Czapski i Mieczysław Trochimuk (wyłonieni w woj. białkopodlaskim), Andrzej Szczepkowski i Eugeniusz Wilkowski (wybrani w woj. chełmskim), Adam Stanowski i Henryk J. Stępnik (woj. lubelskie), Wiesław Lipko i Janusz Woźnica (woj. zamojskie).

W 460-osobowym Sejmie zasiadać będzie 26 posłów wybranych w naszym regionie. Są to: Józef Oleksy, Stefan Ostapiuk, Franciszek J. Stefaniak, Jerzy Szymanderski (wybrani w woj. białkopodlaskim); Tadeusz T. Badach, Zygmunt A. Karczewski, Eugeniusz Ujas, Zdzisław Zambrzycki (woj. chełmskie), Kazimierz Czerwiński, Ignacy Czeżyk, Irena U. Gil, Czesław Kosiński, Teresa Liszcz, Zygmunt W. Lupina, Tadeusz Mańka, Antoni K. Pieniążek, Jan Rajtar, Janusz H. Rożek, Izabella Sierakowska, Marian R. Starownik, Bona-

wentura Ziomba (woj. lubelskie); Ryszard W. Bartosz, Zbigniew Kawałko, Jan Kowalik, Stanisław J. Majdanski, Henryk Wujec (woj. zamojskie).

■ NA MIEJSCE centralnej inauguracji Harcerskiej Akcji Letniej '89 wybrany został Majdan Sopocki (woj. zamojskie). Uroczystości tej (25 czerwca) towarzyszyło otwarcie stacji harcerskiej.

■ ZAMOJSCY animatorzy kultury budzą szacunek pomysłami, a imponują... kondycją. Od połowy czerwca trwa festiwal teatralny, zaś przed paroma dniami zakończyła się prezentacja kultury wołyńskiej. W ramach „Dni Wołynia” gościła na Zamojszczyźnie 130-osobowa grupa tancerzy, muzyków, pisarzy, plastyków.

■ TYMCZASOWY ZARZĄD Okręgu Lubelskiego Stowarzyszenia Żołnierzy AK z prezesem — prof. Jerzema Kłoczowskim został przyjęty przez ordynariusza diecezji lubelskiej ks. biskupa

Bolesława Pylaka. Omawiano sprawy działalności Stowarzyszenia. Zgodnie z życzeniem środowiska AK-owskiego, ks. bp Pylak powołał na stanowisko kapelana okręgowego Stowarzyszenia Żołnierzy AK — ks. prof. Mieczysława Brzozzowskiego. (w)

■ W ŁĘCZNEJ, na stadionie „Górnik” odbył się mecz piłkarski, w którym parafianie zmierzli się z miejscowymi księżmi. Padł wynik remisowy 1:1. Wśród ok. 3 tys. widzów przeprowadzono zbiórki pieniędzy na fundusz Stowarzyszenia Pomocy Mieszkaniowej dla Sierot. Zebrano ponad 100 tys. zł.

■ ORKIESTRA filharmonii lubelskiej biegnąc sezon artystyczny zakończyła dwutygodniowym tournée po miastach zachodniej Francji. Wraz z 200-osobowym chórem i solistami z Paryża, lubliniancy, których poprowadził znany paryski dyrygent Philippe Herrewage, koncertowali w średnowiecznych ciekawych klasztorach w Saintes, Poitiers, La Rochelle i Fontenay le Comte. Recenzje — dobre i znakomite!

Dodajmy, że w tym sezonie lubelscy filharmonicy wystąpili wcześniej w Szwecji i we Włoszech.

■ DO KANADY odleciała grupa dziecięca Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej. W programie miesięcznego pobytu: udział w dwu festiwalach oraz koncerty w największych skupiskach polonijnych.

■ NA UKRAINIE gościł Lubelski Chór Chłopców. Młodzi artyści, kierowani przez Bronisława Mikitę, dali kilka koncertów w najbardziej prestiżowych salach Kijowa, spotykając się z entuzjastycznym przyjęciem ceniącej sztukę śpiewaczą kijowskiej publiczności.

W drodze powrotnej lubelski chór zatrzymał się we Lwowie, gdzie dał koncert podczas niedzielnej sumy w wypełnionej po brzegi katedrze. Lubelskie „słowiki” zaśpiewały też wieszczce Adamowi trwającemu na wysokim postumencie w centrum miasta.

■ W KAZIMIERZU w dn. 29 czerwca — 2 lipca odbywać się będzie XXIII Ogólnopolski Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych. Zainteresowanych odsyłamy do programu zamieszczonego na str. 14.

Oprac. Zbigniew Miazga

5 LIPCA „SPRAWA BIERUTA” ZNAJDZIE SWÓJ OSTATECZNY FINAŁ WYPROWADZKA

Zbigniew Miazga

KTÓRY to już raz odkrywamy prawdę o naszym powojennym dziesięcioleciu? Na fali październikowej „odwilży” (1956 r.) ujawnione zostały praktyki łamania prawa. Padały nazwiska katów i ich ofiar. Rozpoczęły się procesy rehabilitacyjne. Potępiano stalinizm. Ponieważ analiza, a za nią krytyka i refleksja, nie sięgnęły korzeni wynaturzeń, podobne procesy przeżywalimy podczas kolejnych narodowych „zakrętów”. Za sprawą różnej maści „hamulcowych” patologia stalinizmu nadal ciążyła na funkcjonowaniu partii, państwa, gospodarkę, na życiu całego społeczeństwa — prowadząc do niepowodzeń i konfliktów społecznych.

I oto jesteśmy świadkami kolejnej próby opowiedzenia prawdy o czasie — zwanym eufemistycznie — „błędów i wypaczeń”. Jak się wydaje jest to próba najbardziej szczerą, konsekwentną, w której emocjom — bo czyż może ich nie być? — towarzyszy odpowiedzialność, refleksja, także historyczny dystans.

Rozliczanie się ze spuścizną powojennego dziesięciolecia ma na Lubelszczyźnie, ale przede wszystkim w Lublinie, charakter szczególny. Tu bowiem powstały pierwsze miejsca kaźni, w których torturowano i wykonywano wyroki śmierci na tych, których jedyną winą było to, że pragnęli innej Polski. W Lublinie ten, który ponosi szczególną winę za stalinizację w Polsce, Bolesław Bierut, ma pomnik; jego imieniem nazwany został plac, ulica i fabryka. Dlatego też w imię historycznej prawdy, spontanicznie i „odolnie” podjęte zostały działania, których katalog, ułożony chronologicznie, prezentujemy.

LIPIEC — WRZESIEŃ 1988

* Mówi Henryk Zych, w lipcu ub.r. sekretarz (obecnie przewodniczący) Rady Pracowniczej Fabryki Samochodów Ciężarowych im. B. Bieruta:

— Jeden z kolegów w lipcu 1988 r. przyniósł gazetę (tytułu nie pamiętam, ale była to gazeta katolicka), w której znajdował się artykuł poświęcony Bierutowi. Choć wiedzieliśmy, że nie była to taka postać jakby wynikało ze szkolnych czytanek, ale o wielu faktach, czarno na białym, dowiadujemy się po raz pierwszy. Zrobiło to na nas duże wrażenie, postanowiliśmy, że nie będziemy składać holdów temu panu. Padła wtedy propozycja usunięcia z nazwy fabryki jego nazwiska, nadanego w 1952 r. „na życzenie załogi”. A że była to sprawa polityczna, temat ten „sprzedaliśmy” Komitetowi Fabrycznemu partii. Przynęśli, że pociągną sprawę dalej. Ale gdy we wrześniu składaliśmy w dyrekcji listę postulatów, m. in. placowych, jeden dotyczył zmiany nazwy fabryki.

LISTOPAD '88

* W lubelskim Ratuszu staje sprawa umieszczenia na Bramie Krakowskiej znajdującego się tam ongiś obrazu Matki Boskiej oraz powrotu do dawnych nazw ulic na Starym Mieście, zmienionych w okresie powojennym. Radni jednogłośnie wyrazili zgodę na zawieszenie obrazu (przejęty z muzeum, umieszczony został na frontonie Bramy w świąteczny dzień 11 listopada); natomiast w czasie dyskusji o powrocie do tradycyjnych nazw ulic pojawiły się kontrowersje. Ostatecznie postanowiono, że zachowane zostaną i nowe i dawne nazwy.

* W zaciszach kilku gabinetów rozważana jest kwestia przyszłości pomnika Bieruta, „bo już o tym mówi się na mieście”. Dr Norbert Wojciechowski, pracownik KUL, w liście wysto-

sowanym m. in. do lubelskich redakcji domaga się likwidacji pomnika. List nie został opublikowany.

STYCZEŃ 1989

* Egzekutywa Komitetu Fabrycznego FSC podejmuje uchwałę, której jeden z punktów brzmi: „...w krótkim czasie doprowadzić do przedstawienia załozce FSC wszystkich faktów i ocen związanych z życiem i działalnością Bolesława Bieruta”.

* Wojewódzki Zespół Poselski w Lublinie występuje do Prezydium Sejmiku o powołanie komisji sejmowej, która oceniłaby działalność państwową Bieruta. (Od byłego przewodniczącego Woj. Zespołu Poselskiego, Andrzeja Szpringera, usłyszałem, że do momentu naszej rozmowy, czyli do 23 czerwca, wniosek ten nie doczekał się odpowiedzi).

* Podczas zebrania POP w Muzeum Lubelskim pada propozycja zmiany profilu i nazwy podległego tej placówce Muzeum Historii Ruchu Robotniczego im. B. Bieruta, w którym to znajduje się stała ekspozycja poświęcona „życiu i dziełu” patrona. Pismo w tej sprawie — z nadzieją na polityczne „rozgrzeszenie” instancji — skierowane zostało do Komitetu Miejskiego PZPR. (Odpowiedź nie nadeszła).

LUTY '89

* Pierwszą publiczną dyskusję nt. prawdziwego wizerunku B. Bieruta organizuje Rada Miejska PRON. Zaproszony na tę okazję prof. Eugeniusz Duraczyński z Instytutu Historii PAN (były kierownik Wydz. Nauki KC PZPR) powiedział: „Bierut był twórcą bezprawia, potwierdzone zostały fakty podpinania przez niego wyroków śmierci, on ponosi szczególną winę za stalinizację w Polsce. Nie można jednak kwestionować jego zasług w okresie wojny i tworzeniu zrębów państwowości Polski w jej nowych granicach. Nie można też zapominać o tym co zrobił, aby zahamować proces kolektywizacji polskiej wsi, jego zasług w walce z analfabetyzmem”.

Uczestnicy dyskusji przykłady bezprawia NKWD i UB podawali za publikacją w aktualnym numerze „Relacji” otwierająca kontynuowany nadal cykl — „Lubelska biała plama”.

MARZEC '89

* Spotkanie załogi FSC z Władysławem Ważniewskim z ANS w Warszawie. Teza referenta, że Bierut był w istocie uczciwy i chcący dobrze dla kraju i rodaków, tylko okoliczności

były nie sprzyjające — nie trafia do przekonania słuchaczy.

* W „Relacjach” z 9 marca zamieszczony zostaje list otwarty Norberta Wojciechowskiego do prezydenta Lublina, przewodniczącego MRN i radnych m. Lublina w sprawie „pomnika człowieka, którego nazwisko w powszechnej świadomości Polaków łączy się z systemem bezprawia i przemocy, z najbardziej ponurym i nieludzkim okresem naszych najnowszych dziejów. Bierut był — pisze Wojciechowski — odpowiedzialny za akty brutalnego terroru i okrutnego gwałcenia praw człowieka. Dziś nie ma wątpliwości, że był pierwszym i największym polskim stalinowcem. [...] Dalsze istnienie jego pomnika stanowi zniewagę dla tysięcy niewinnie zamordowanych patriotów, jest naigraniem się z ich męczeńskiej śmierci, a dla żyjących ofiar represji stanowi szydercze potwierdzenie zwycięstwa zła nad dobrem, kłamstwa nad prawdą...”

* Uczestnicy wojewódzkiej konferencji partyjnej (odbywającej się w ramach kampanii sprawozdawczej PZPR), zwracają się do centralnych władz PZPR z wnioskiem o powołanie komisji do wszechstronnej oceny działalności politycznej byłego I sekretarza KC — Bolesława Bieruta.

Pośrednią odpowiedzią jest „Stanowisko Krajowej Konferencji Delegatów PZPR w sprawie usuwania pozostałości i konsekwencji stalinizmu w Polsce” z 5 maja br. Zacytujmy fragment: „Bolesław Bierut [...] inicjował bezpodstawnie uwięzienia i fałszywie oskarżenia grup czolowych działaczy PPR [...] Obciąża go przeciwstawienie się procesowi destalinizacji już po śmierci Stalina i stracenia Berii”. Dodajmy, że w tym samym dokumencie, wśród odpowiedzialnych za realizację polityki represyjnej, wymieniony jest inny „właściciel” pomnika w Lublinie — Franciszek Jóźwiak.

KWIECIEŃ '89

* Minister Wilczek podejmuje decyzję o zmianie nazwy producenta żuków. Brzmi ona teraz Fabryka Samochodów w Lublinie. Z fabrycznej sali konferencyjnej ktoś zabrał „do wyczyszczenia” odlane ze szlachetnego metalu popiersie byłego patrona. Na swoje miejsce nie powróciło ono do dziś.

* Panel „RELACJI”: „Bierut: mąż stanu, agent czy wykonawca?”, nie przynosi jednoznacznej odpowiedzi na postawione w tytule pytanie; dowodzi konieczności badań źródłowych, udostępnienia archiwów.

MAJ '89

* Zarządzeniem wojewody lubelskiego, w porozumieniu z ministrem kultury i sztuki, Muzeum Historii Ruchu Robotniczego zmienia nazwę i profil. Obrazować będzie teraz historię walk o wyzwolenie narodowe (od końca XVIII w.) i ruchów społecznych, z powstaniem i działalnością „Solidarności” włącznie. Ekspozaty z wystawy poświęconej Bierutowi w większości trafia do magazynu.

* Na frontowej ścianie Zamku Lubelskiego odsłonięta została (o 8 rano, z udziałem tylko władz oficjalnych) tablica wmurowana z inicjatywy RM PRON z następującym tekstem: „Wieżniom Politycznym Zamku Lubelskiego represjonowanym, torturowanym i pomordowanym w latach 1944—54 w

holdzie społeczeństwo Lublina. Kwiecień 1989”. W dyskusjach powtarza się zarzut o przemilczeniu przez kogo więźniowie byli represjonowani, torturowani i mordowani.

* Prezydium MRN podejmuje postanowienie o likwidacji pomnika Bieruta i ustawieniu na opróżnionym cokole herbu Lublina. Plac Bieruta ma się nazywać Placem Zgody, zaś ulica mająca tego samego patrona, przyjmie nazwę ul. Lwowskiej. Choć na mocy owego postanowienia można dokonać likwidacji pomnika (bowiem decyzję o jego budowie podjęło Prezydium MRN, choć w innym składzie) jednak sprawa ta ma być „postanowiona” na sesji MRN.

CZERWIEC '89

* Grupka radnych wynajduje formalne przeszkody uniemożliwiające przyjęcie stanowiska podczas sesji MRN. (Materiał w tej sprawie — około pół strony maszynopisu — nie został doręczony na 7 dni przed sesją, a podczas prac komisji wnioskujących w tej kwestii nie było quorum). „Sprawa pomnika” przeniesiona zostaje na następną sesję MRN.

* W lubelskiej prasie dyskusja: bu- rzyć czy nie?, o nie tak, to co postawić w tym miejscu?, gdzie „wyprowadzić” 30-tonowego Bieruta z brązu?, jak nazwać plac?

Władysław Kruk, były I sekretarz KW PZPR w Lublinie w wypowiedzi dla „Sztandaru Ludu” stwierdził: „Uczestniczyłem jako I sekretarz w uroczystości odsłonięcia tego pomnika przed 10 laty i szczerze wierzyłem w oficjalną ocenę Bieruta, jego roli w naszej powojennej historii [...] Ale skoro Bierut jest winny i co do tego nie mamy żadnej wątpliwości, to rzecz oczywista, iż trzeba zdemontować jego pomnik. I niech będzie to przestroga, iż pod żadnym pozorem nie wolno budować zbyt szybko i pochopnie żadnych pomników”.

* Przed tygodniem opublikowaliśmy oświadczenie Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, którego autorzy — przypominamy — proponują zbudowanie tu pomnika poświęconego pamięci ofiar stalinizmu.

5 LIPCA...

...„sprawa Bieruta” znajdzie swój ostateczny finał. Na ten dzień zapowiedziana została sesja MRN, w której trakcie podjęte zostaną ostateczne decyzje co do losów pomnika, nazwy placu i ulicy.

Ale pozostaje cała grupa problemów. Pierwsza kwestia wiąże się z zadośćuczynieniem ofiarom stalinowskiego bezprawia oraz ich rodzinom. Czy wystarczy tylko moralne? Dalej: powojenne dziesięciolecie z powodu zafalszowań i braku (rzeczywistego, a może pozornego) materiałów, jest okresem trudnym do obiektywnego opisu. Na szczęście są historycy i dokumentaliści, którzy zadali sobie ten trud. Wkrótce więc — mam nadzieję — ukaza się wydawnictwa poświęcone temu tematowi, a wystawa obrazująca martyrologię więźniów lubelskiego Zamku do 1944 r. będzie miała swój ciąg dalszy.

PS. Na 1 lipca (godz. 22) i 2 lipca (godz. 10.30) zapowiedziane zostały uroczystości religijne na Placu Zebrań Ludowych poświęcone pamięci ofiar Zamku. Tym z okresu wojny jak i lat 1944—54.

DWA NARODY, DWIE DATY

Michał Zieliński

13 grudnia 1981 roku w Chińskiej Republice Ludowej przyjęto ustawę określającą zasady opodatkowania przedsiębiorstw z wyłącznie zagranicznym kapitałem. Tym samym ChRL stała się pierwszym krajem komunistycznym, w którym przedsiębiorstwa takie mogły podjąć działalność.

13 grudnia 1981 roku w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego ogłosiła stan wojenny na terenie

całego kraju. Tym samym proces reform politycznych i ekonomicznych, rozpoczętych w końcu sierpnia 1980 roku, został zahamowany.

4 czerwca 1989 roku w Polsce siedemnaście milionów osób skorzystało z przysługującego im czynnego prawa wyborczego i udało się do urn, aby wybrać dwuizbowe Zgromadzenie Narodowe.

4 czerwca 1989 roku w Chinach czołgi 28 armii wjechały na Plac Niebiańskiego Spo-

koju, miażdżąc studentów apelujących o demokratyczne zmiany w swoim kraju.

Ironia historii. Dwa narody i dwie daty. I dwie drogi: od dyktatury do consensu społecznego i od ambitnych reform do rządów siły i krwawego terroru. Zestawiam je tutaj nie po to, aby straszyć ludzi, którzy chcieliby wreszcie się czuć w kraju, w którym żyją — jak w swoim kraju. Raczej odwrotnie. Myślę, że zestawienie to, wraz ze świadomością potępiania, z jakim cały cywilizowany świat zwraca się w stronę Deng Xiaopinga i Li Penga, powinno stać się przestroga dla tych, których świerzbiała rece. by ukrócić anarchię, jaka rozpanoszyła się wiosną 1989 roku w Polsce.

„ZACZYNAJEMY ROZUMIEĆ, ŻE POJĘCIE POLONIA JEST KATEGORIĄ PRZEDE WSZYSTKIM NARODOWĄ, A NIE TYLKO POLITYCZNĄ I PROPAGANDOWĄ”

JAK DALEKO, JAK BLISKO?

Rozmowa z doc. dr. hab. Władysławem Kucharskim
dyrektorem Polonijnego Centrum Kulturalno-Oświatowego UMCS w Lublinie

— Panie docencie, od kilkunastu lat kieruje pan placówką zorientowaną na kontakty z naszym polskim wychodźstwem i jego potomkami określonymi mianem Polonii, można więc przyjąć, że ma pan do problematyki dystans. Czy dostrzega pan jakiegoś różnicę w podejściu do naszej, polskiej diaspory w świecie na przestrzeni tych lat? Lub może jeszcze lepiej: od czasu powołania Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” w 1955 roku?

— Rozumiem, że ma pan na myśli podejście do sprawy — państwa i jego instytucji... Oczywiście, że dostrzegam zmiany. Ta ewolucja warta jest przesłania nie tylko od momentu powstania Towarzystwa „Polonia”, ale w ogóle od końca okupacji na terenach Polski i powstania nowej rzeczywistości politycznej.

— Czy możemy to zrobić na użytek czytelników? Wiele z nich to potencjalni uczestnicy Lata Polonijnego '89, zjeżdżający właśnie do kraju i naszego regionu.

— Zaczę od stwierdzenia, że stosunek do Polonii czy emigracji zawsze określany był poprzez czynniki polityczne. Tuż po wyzwoleniu kraju, kiedy okazało się, że do jedności postaw wobec nowego porządku jest daleko, zachętom do powracania do Polski towarzyszyły niestety fakty nie przynoszące nowej władzy chwały: wywożenie żołnierzy Armii Krajowej w głąb ZSRR, szkalowanie bohaterów czynu zbrojnego na Zachodzie, pozbawienie obywatelstwa grupy generałów i wyższych oficerów z Władysławem Anderszem na czele, czy wręcz przesładowanie tych, którzy uwierzyli i do Polski powrócili (jak powiedzmy pilota-legendy: Sikalskiego). To wszystko nie mogło i nie wywoływało pozytywnego odbioru nowej Polski wśród Polonii czemu zresztą trudno się dziwić.

Sytuacja po 1948 roku i przyjęcie wiernopoddanego kursu stalinowskiego sprowadziły stosunki z Polonią do poziomu najgorszego i najniższego z możliwych. Uciekano się wtedy do porównywania Polaków, którzy wybrali życie poza ojczyzną, do zdrajców, renegatów, sługusów „wrogich imperialistycznych sił” itd. Nie będę daleki od prawdy, gdy powiem, że jeszcze kilka lat takiego „porządku” i nie byłoby w ogóle możliwości budowania z Polonią jakichkolwiek stosunków.

— Powstanie w 1955 roku Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” też nie dokonało jakiegoś radykalnego przesłomu w stosunkach?

— A czy mogło? Towarzystwo było tworzone przez grupę intelektualistów i nie było bynajmniej entuzjastycznie widziane przez ówczesne władze. Polonia z kolei, w swej przytłaczającej większości, uznała je za agenturę rządową, mającą nieczyste zamiary wobec emigracji. I znów — Bogiem a prawdą — trudno się dziwić.

Początkowa „łączność” z Polonią polegała na dostarczaniu książek polskich, podręczników czy tworzeniu jakichś namiastek powiązań handlowych, typu sprzedaż wyrobów cepeliowskich, oraz propagowaniu turystyki do kra-

ju. Działalność ta skierowana była przede wszystkim na Polonię starej daty, emigrującą za chlebem w czasach rozbiorowych czy międzywojennych; nadal jednak odwracano się plecami do środowisk kombatanckich czy intelektualnych, do potężnej fali emigracji ostatniej wojny. Tak było praktycznie do końca lat sześćdziesiątych.

— Co by pan powiedział o polityce Gomułki wobec Polonii? Wydaje się, że polityk ten zaprzepścił szanse ustalenia w miarę normalnych stosunków z emigracją oraz kredytowania, jaki otrzymał po Październiku także na Zachodzie.

— Należy podzielić taki pogląd. Gomułkę cechowała pewna schizofrenia w podejściu do Polonii. Z jednej strony, bardzo mile widział gesty polonistów dające się wpisać w doraźne akcje polityczne, jak powiedzmy, fundowanie przez nich budowy szkół w ramach słynnej akcji „Tysiąc szkół na Tysiąclecie”, albo propagowanie misji folkloru w utrzymaniu więzi z krajem, gdzie kolejne wojaże „Mazowsza” i ich propaganda miały pokazywać, jak to u nas jest dobrze i jak wielka jest nostalgia Polonii za tym, co my mamy, a oni — nie. Z drugiej strony, bronił się zaciekle przed rozszerzaniem kontaktów z Polonią poza oberka i „Czystą Wyborową”, a na rejony, powiedzmy, gospodarcze. Było to wszystko o tyle dziwne, że wiele osób z bliskiej rodziny Gomułki (w tym brat) wyemigrowało do USA i tam żyło i żyje do dziś. Te fakty rodzinne Gomułka zresztą skrzętnie skrywał.

Podsumowując, był on dla Polonii postacią wielce niewiarygodną. Jego image pogarszały zresztą niepotrzebne utarczki z kardynałem Stefanem Wyszyńskim (konflikt millenijny) oraz niechętny stosunek do środowisk kombatanckich, a także jego fobie antyinteligentne (wrogość wobec literatury emigracyjnej z Gombrowiczem na czele). Po Marcu Gomułka zaczął się jawić również jako ten, który dość skutecznie wpłynął na pogorszenie pozycji Polonii w krajach jej osiedlenia, a zwłaszcza w USA, gdy każdego polonusa zaczęto odbierać jako antysemitę.

— Następca Gomułki, Edward Gierek zdawał się jednak Polonię kokietować...

— Gierek miał swoją polonijną przeszłość. Przebywał we Francji i w Belgii (w Genk do dziś wspominają go bardzo dobrze), miał inną perspektywę, inne doświadczenia osobiste. W jego dekadzie nastąpiło niewątpliwie ożywienie kontaktów z Polonią, zaczęły funkcjonować różne formy kursów i studiów polonijnych (w tej liczbie także nasze lubelskie Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe), zaczęły działać pierwsze firmy polonijne, radykalnie wzrosły kontakty międzyludzkie: wizyty Polonii w kraju i Polaków u swoich rodzin za granicą. Abstrahując od motywów (zapewne Gierek chciał się jawić jako polityk otwarty, szerokich horyzontów, formatu międzynarodowego), jakie nim powodowały, postęp w stosunkach z Polonią był widoczny.

Nie oznacza to jednak jakiegoś przesłomu jakościowego. Dystans pozostał mimo pewnych gestów w kierunku,

na przykład, środowisk kombatanckich (anulowanie decyzji o pozbawieniu obywatelstwa 75 generałów i oficerów, z wyłączeniem jednak z tej „abolicji” generała Andersa). Gierek nie akceptował zjawiska nowej emigracji, którą zresztą w znacznym stopniu wywołały duże możliwości podróżowania do krajów kapitalistycznych stworzone przez jego ekipę. Unikał tematu Polaków w krajach socjalistycznych, a zwłaszcza w ZSRR.

Czy kokietował Polonię? Ja bym powiedział, że Polonia była mu potrzebna do kreowania nowego obrazu Polski. Polski — dziesiątego mocarstwa przemysłowego, Polski prosperującej, otwartej, europejskiej. Był pod tym względem zasadniczo różny od Gomułki. Podczas gdy ten udawał, w trakcie wizyty w Nowym Jorku, że jego brat to nie jego brat, Gierek na koktajlu w polskiej ambasadzie w Brukseli zaprosił swego... chrześniaka z Genk i naturalnie pokazał grupę kolegów z dawnych lat.

— Czy z równą swobodą możemy porozmawiać o obecnym przywódce i jego stosunku do Polonii?

— Nie widzę przeszkód. Przede wszystkim te stosunki kształtują się

działalność „Solidarności” w kraju. Mówię zresztą o sprawach oczywistych i dobrze znanych...

I jeżeli teraz dokonamy porównania stanu obecnego z tym, co było bardzo niewiele lat temu. Jeżeli wskażemy na praktyczne uznanie prawa każdego Polaka do zamieszkania, gdzie mu się podoba, a więc do uznania prawa emigracji poprzez liberalizację prawa paszportowego. Jeżeli nie ma jakichkolwiek kłopotów z odwiedzaniem Polski najnowsza Polonia „solidarnościowa”. Jeżeli, nareszcie bardziej sensownie, może w Polsce funkcjonować kapitał etniczny i etniczny biznes (w tym Barbara Piasecka-Johnson „wykupująca” Stocznnię Gdańską). Jeżeli publicznie przeprosza się bohaterów II wojny (w tym generała Stanisława Maczka) za wyrządzone krzywdy. Jeżeli dopuszcza się do normalnego funkcjonowania w Polsce literaturę emigracyjną i zaprasza zachodnich wydawców na targi książki. Jeżeli publicznie podkreśla się ogromną rolę Kościoła w zachowaniu polskości naszej emigracji. Jeżeli upomina się o Polaków w ZSRR, tych żyjących i tych, którzy tam poginęli bez wieści w czasach Stalina. Jeżeli uznaje się równe prawa Polaka i w RPA, i NRD. Jeżeli przedstawiciel Kongresu Polonii Amerykańskiej Bolesław Wierzbiański przyjeżdża jako obserwator w czasie obrad „okrągłego stołu”. To choćby biorąc pod uwagę tylko fakty wyżej wspomniane, rodzi się pytanie: czy Jaruzelski, inicjując



Fot. Michał Sroka

w warunkach zasadniczo trudniejszych niż z Gomułki czy Gierka. Wprowadzenie stanu wojennego jednoznacznie utożsamiane jest wśród Polonii z osobą Wojciecha Jaruzelskiego. Reakcja (wielu części emigracji była zdecydowanie negatywna, a Jaruzelskiemu nie oszczędzono niczego, w tym m.in. porównań do Pinocheta. To Polonia (konkretnie: Kongres Polonii Amerykańskiej i jego wielce wpływowy ówczesny prezydent, mecenas Alojzy Mazewski) optowała za restrykcjami gospodarczymi i izolowaniem Polski w sferze kontaktów międzynarodowych, ona następnie domagała się utrzymania tego stanu. Ona również protestowała przeciwko internowaniom czy aresztowaniom działaczy opozycji. Ona wspierała strukturę „Solidarności” na Zachodzie i świadczyła na nielegalną

(lub powiedzmy, tylko firmując) te działania i fakty, robi to dla oszukania i otumanienia Polonii, zamieszania jej w głowie? Pomijam przy tym całą sferę przemian dokonujących się w samej Polsce, takich jak powrót „Solidarności”, wybory poprzedzone „okrągłym stołem”, zmiany konstytucyjne.

Jeżeli więc pada pytanie o stosunek Jaruzelskiego do Polonii, nie mogę odpowiedzieć inaczej niż tak, że jesteśmy świadkami dokonujących się istotnych przemian jakościowych, a nie tylko jakichś ilościowych wzrostów. Ewolucja naszego państwa obejmuje także jego stosunek do Polaków poza krajem. To widzi każdy i trzeba naprawdę wyjątkowego natężenia złej woli i głupoty, aby tego nie widzieć.

— Panie docencie, jest pan jednak naukowcem zajmującym się badaniami nad Polonią i oczekiwałbym bardziej jasnej definicji, określenia tego, co się dzieje.

— Zaczynamy rozumieć, że pojęcie „Polonia” jest kategorią nie tylko polityczną i propagandową, ale przede wszystkim narodową. Musi zatem być wolne od determinowania przez doraźne cele polityczne czy propagandowe. Polacy pozostają Polakami niezależnie od ewolucji ustrojowej kraju nad Wisłą pod nazwą Polska, a tym bardziej od zmian kolejnych ekip rządzących tym krajem.

— O ile dobrze rozumiem, nie widzi pan sprzeczności w tym, że można szczerze nie cierpieć socjalizmu i być w Polsce mile widzianym, by przeleżyć tę definicję na konkrety.

— Tak, o to chodzi. Jeżeli przyjeżdża do Polski profesor Zbigniew Brzeziński, nie należący raczej do zwolenników ustroju socjalistycznego, i ma możliwość publicznego dzielenia się swymi poglądami, to nie jest to chyba przejaw tłumienia swobody myśli i jej głoszenia. Polacy naprawde mogą się różnić i nie musi z tego od razu wynikać groźba wojny domowej.

— Rozmawiamy u progu kolejnego Lata Polonijnego. Co może pan o nim powiedzieć?

— Będzie bezprecedensowo rekordowe. Dotyczy to zarówno liczby uczestników, jak i samych imprez. Dwie wiodące to Kongres Uczonych Polskiego Pochodzenia i rzeszowski Światowy Festiwal Polonijnych Zespołów Folklorystycznych. Ponadto stałe pozycje: studia, kursy i szkoły dla nauczycieli, instruktorów folkloru, młodzieży, kolonie, obozy. Otwarty zostanie również Dom Polonii w Pułtusku. Jeżeli mamy coś powiedzieć o zmianach jakościowych, to w imprezach Lata powszechny udział wezmą Polacy z ZSRR. To jest rzeczywisty przełom.

— Lublin jak zwykle będzie wiodącym w tych imprezach?

— Oczywiście. Nasze Centrum tradycyjnie już organizuje Studium Metodki Języka Polskiego dla Nauczycieli Polonijnych, Studium dla Instruktorów Polonijnych Zespołów Folklorystycznych, Wakacyjny Kurs Kultury i Języka Polskiego (dla młodzieży w wieku 15–17 lat). Jesteśmy także zaangażowani w przygotowanie dwóch kolonii dla dzieci polskich z ZSRR (200 osób) i w zgrupowanie Zespołów Folklorystycznych, które odbędzie się w Zamościu (250 osób). Naturalnie jesteśmy współorganizatorami jednej z sesji Kongresu Uczonych Polskiego Pochodzenia, który odbędzie się w Krakowie. Trzeba również pamiętać o znaczącym udziale w Lecie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gdzie działać będzie tradycyjnie już Szkoła Letnia Kultury i Języka Polskiego, a Instytut Badań nad Polonią i Duszpasterstwa Polonijnego tej uczelni jest również współorganizatorem wspomnianej sesji forum uczonych polskiego pochodzenia.

— Czy wspomniany przez pana udział Polonii radzieckiej zauważymy również w Lublinie?

— Powiedziałbym, że przede wszystkim na naszym terenie. Na studium nauczycielskim Polacy z ZSRR stanowią ponad 60 proc. uczestników (75 osób), w szkole młodzieżowej — połowę (37 osób). Dochodzą kolonie w Kijanach i Starym Brusie, obie po sto dzieci. Polonia radziecka spotyka się ze swymi współrodakami z kilkunastu krajów. Tradycyjnie już największą przybędzie ich z Czechosłowacji, Francji, RFN, Belgii, Szwecji oraz z Atlantyku: USA i Kanady. Będą także grupy z NRD, Węgier, Bułgarii. Niestety, zabraknie Polonii rumuńskiej, nad czym głęboko ubolewamy, a co jest niezależne ani od nas, ani od polonistów.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Waldemar Piasocki

NIEUDANA PODRÓŻ DO LWOWA

Violetta Krasnowska

MIAŁA to być podróż sentymentalna, w przeszłość, pełna śladów polskiej historii i pięknej sztuki — do Lwowa, miasta o którym pisano, że jest „najśliczniejsze na świecie”, a które znałam z opowieści starszych ludzi, ciągniętych tą piękną, śpiewną mową z nostalgią i tęsknotą w głosie. I z wierszy, jak ten Marianna Hemara:

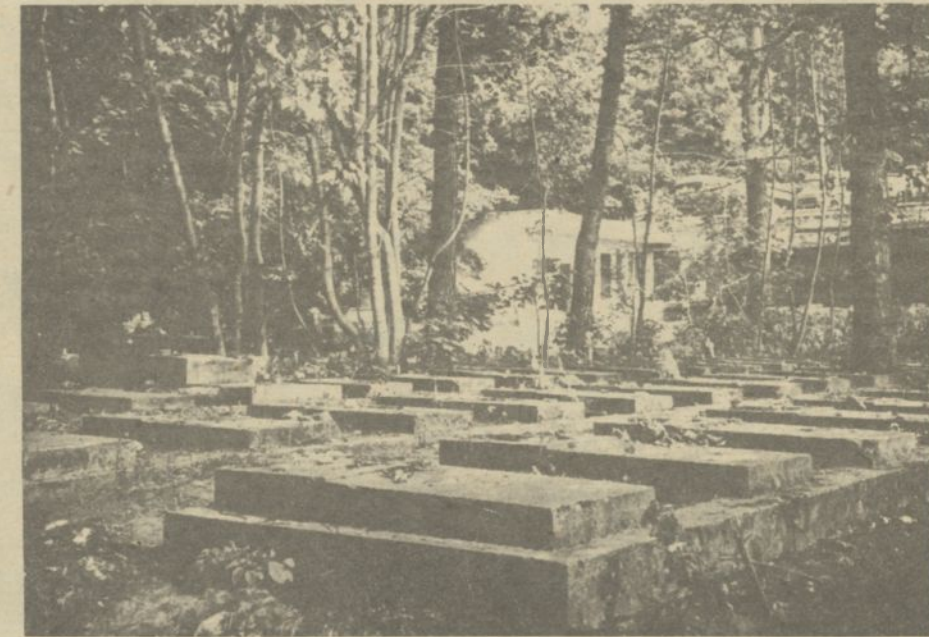
*My jesteśmy z polskiej Florencji,
Z miasta siedmiu pagórków fiasolskich,
Z miasta muzyki, inteligencji,
I najpiękniejszych kobiet polskich.
Z miasta talentów, ideałów,
Temperamentów i błyskawic,
I teatru, i gwiazd, i zapalów,
I tej „Panoramy Raclawic” —
O ślicznej oleodruku!
My jesteśmy z miasta poezji,
Co się u nas rodziła na bruku,
Jakby kamień się zmienił*

w natchnienie.

Taki Lwów urodziłam w sercu i pamięci, nie widząc go nigdy, i takim chciałam go zobaczyć. Wciągnąć w nozdrza razem z powietrzem lwowskiej ulicy ten klimat, tamtą atmosferę.

Rzeczywiście, urzeka to miasto swoim pięknem, swoją architekturą. Widziałam domy ze zdumiewająco różnorodnymi i bogatymi fasadami; aż dziw, że nie tknęła ich ręka konserwatora. Widziałam precudne muzeum mebli i porcelany w pałacu Lubomirskich, gdzie bogactwo eksponatów może przyprawić o zawrót głowy, silniejszy o drugie tyle zalegające w magazynach. Chłuba lwowian — pałac Potockich, służący za pałac ślubów, godnie króluje w wąskim zaułku starego miasta. Widziałam także piękne, barokowe kościoły, których nie powstydziliby się Rzym — stolica tego stylu, a które, niestety, zamknięte naглуcho, służą za archiwa i magazyny, za biura przedsiębiorstw o niedorzecznych nazwach.

Niewiele uzbierało się podczas wędrówek po cichych zaułkach miasta w poszukiwaniu owego legendarnego nastroju galicyjskich pamiętników. Z każdej strony wdziera się nowa, pierzastokłowa, niekiedy groźna, teraźniejszość.



Groby Orłat Lwowskich. Stan obecny.

Widać to najbardziej w centrum miasta, gdzie na wielkim deptaku przy Prospekcie Lenina codziennie zbierają się tłumy ludzi, by dyskutować i wyrażać swoje poglądy. Ostatnio powodem wieców jest żądanie postawienia w tym miejscu pomnika Tarasa Szewczenki. Jeden, centralnie usytuowany, klomb, określający miejsce przyszłego postumentu, obłożony jest dużą ilością świeżych, ciętych kwiatów, wśród których umieszczono fotografię poety. Na obrzeżach klombu leżą przyciśnięte kamyczkami kartki z wierszami na narodową nutę, tych szewczenkowskich dumek o tęsknocie za wolną Ukrainą. I przepisujące są od razu przez zebranych ludzi. Wydaje się, że żądanie umieszczenia pomnika Szewczenki

właśnie tutaj — na wprost podobizny Lenina (główny powód sprzeciwu władz; inne propozycje są przez manifestantów odrzucane) — jest pretekstem do manifestowania ostentacyjnej ukraińskości. Tendencje nacjonalistyczne i w tej republice dochodzą już mocno do głosu.

W dniu Bożego Ciała uroczystą mszę w kościele polskim pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny zakłóciły dobiegające z zewnątrz okrzyki. Całą ulicę wiodącą do Rynku zapelnili liczni tłum manifestantów. Powiewały ukraińskie żółto-niebieskie flagi, ludzie wznosili zaciśnięte w pięści ręce, a ulicą niesły okrzyki. Demonstranci domagali się uwolnienia ich kandydata na moskiewski zjazd, który to kandydat, jak mi później powiedziano, nie wiadomo, gdzie się obecnie znajduje. Skandowano: niezależność, niezależność! Do tłumy dołączali ludzie stojący dotychczas na chodnikach. Manifestacja nabierała mocy, krzyk potęgował się i cała sytuacja wygładzała groźnie. A jednak siedzący nie opodał w samochodzie milicjant, przed którego oczyma przechodziła masa ludzi z wyciągniętymi pięściami, do końca zachował całkowity spokój.

Dowiedziałam się później, że takie marsze odbywają się we Lwowie często i przestały już na niektórych mieszkańców robić wrażenie. Spotkałam się zresztą z wcale licznymi wypowiedziami krytycznymi wobec wyścigów ludności ukraińskiej, mówiącymi, iż krzykiem i manifestacjami do niczego nie można dojść. Samych uczestników nierzadko określano mianem chuliganerii. Parę dni później pewna starsza Ukrainka powie mi, że zatrzymani uczestnicy demonstracji zostali obciążeni karą pieniężnymi sięgającymi kilkuset rubli.

Tak wszechobecny w polityce trend rozliczeniawy widoczny jest także w sferze kultury. W lwowskim Związku Artystów odbyła się konferencja prasowa na temat działalności komisji powołanej do wyjaśnienia sprawy niszczenia w latach pięćdziesiątych wielu dzieł sztuki, zaświadczonej o kulturze tzw. mniejszości narodowych. Jeden z występujących stwierdził, że właśnie we Lwowie to tajemnicze i

pięknej ponoć galerii obrazów, również doradzano mi nie ujawniać swojej narodowości. Byłam więc milczącym, wdzięcznym słuchaczem, gdyż język ukraiński jest bliższy polskiemu niż rosyjski.

Starego Lwowa szukałam wreszcie na Cmentarzu Łyczakowskim. Polską ścieżkę, wzdłuż miejsc snu wiecznego wielkich Polaków, wskazywały łowiaty na ich grobach. Pomniki, najczęściej odwiedzane przez wycieczki polskie, mające zresztą zwykle niewiele czasu, są w bardzo dobrym stanie. Kiedy jednak zapuścisz się w boczne, mało uczęszczane alejki, ujrzyś walące się, zapadające grobowce rodzin polskich. Bardzo skomplikowane jest dotarcie do miejsca, gdzie spoczywają Orłata Lwowskie. Wskazówka — polskie napisy kredą na cmentarnym murze: „Orłata Lwowskie” — i strzałki. Po przejściu wyrwy w murze — już słynny cmentarz, albo raczej to, co po nim zostało: rzędy betonowych płyt, bez żadnych tabliczek, często bez krzyży, a pomiędzy nimi papierowe biało-czerwone chorągiewki. Kultura obecnych zarządców...

Raduje inicjatywa Fundacji Kultury Polskiej — stworzenia polsko-ukraińskiej komisji, w której skład wchodzi wybitni specjaliści konserwatorzy i historycy sztuki. Ze strony polskiej są to: rektor Uniwersytetu Wrocławskiego — Alfred Jahn; rektor krakowskiej ASP — Marian Konieczny, Stanisław Nicieja — autor monografii cmentarza; Tadeusz Polak — prezes Fundacji Kultury Polskiej i dyrektor PKZ; Ryszard Brykowski z PAN oraz konsul polski we Lwowie — Józef Fijał. Celem komisji ma być nadzór nad pracami inwentaryzacyjnymi i konserwatorskimi na Cmentarzu Łyczakowskim. Najprawdopodobniej cały ciężar tej ogromnej pracy spadnie na barki krakowskich PKZ, a roboty zostaną rozpoczęte już w czerwcu tego roku.

Cieszę się, że ta — jak pisze się w lokalnej prasie — nekropolia o europejskim znaczeniu odzyska swój blask. A tymczasem władze republiki wstrzymały wszelkie akcje na tym cmentarzu. Spotkałam się również z oburzeniem jednego z profesorów lwowskiego Instytutu Artystycznego w związku z zamieszonym niedawno w „Kulturze” artykułem, w którym jest mowa o katastrofalnym stanie tego cmentarza. Twierdził, że od dawna prowadzi na terenie nekropolii prace konserwatorskie ze swoimi studentami; przy tych obiektach, które potrzebowały natychmiastowej pomocy. Za winnych stanu tego cmentarza i grobów Orłat Lwowskich uważa się chuliganów, gdyż — jak twierdzi Immanuel Misko, rektor Instytutu Artystycznego i członek komisji — kiedy zostały niszczone groby Orłat, nieznaną siłą zniszczyła również groby ukraińskie.

W poszukiwaniu Polaków we Lwowie — już tych żywych — udałam się do prezesa nowo powstałego Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej — profesora Leszka Mazepy. Mówił o trudnej w obecnych czasach sytuacji Polaków, o ich małej liczbie i słabości intelektualnej. Nie jest to — zdaniem Mazepy — siła, która mogłaby wycisnąć piętno na życiu kulturalnym i naukowym Lwowa. Trochę zaskakująca to wypowiedź, gdy widzi się tłumy na mszach w kościele polskim i słyszy o otwieraniu coraz to nowych kościołów polskich w tej republice.

Spotkanie na ulicy ze starszą kobietą daje wiele do myślenia o Polakach we Lwowie. W bramie, konspiracyjnym szeptem, rozglądając się na boki, przekonuje o konieczności posługiwania się w miejscach publicznych językiem ukraińskim. Trudno jest być Polką tutaj — stwierdza ze smutkiem. Podobny ton słychać w zdaniu innego rozmówcy: „Lwów był, jest i będzie miastem ukraińskim, dlaczego nie chcecie tego zrozumieć wy, Polacy?”

Całe miasto żyje odbywającym się właśnie w Moskwie Zjazdem Deputowanych Ludowych. Zainstalowano megafony na ulicach, w sklepach włączone są radia i telewizory transmitujące obrady. I jak tu oglądać się wstecz, szukać klimatu starego Lwowa i odgadywać polskość, gdy wszystkie oczy wpatrzone są w telewizor?...

Fot. Autorka

zbrodnicze rozporządzenie zostało wykonane nad wyraz sumiennie, i domagał się kategorycznie pociągnięcia sprawców do odpowiedzialności karnej lub finansowej. Stwierdzono także, że nie można wszystkiego zrzucać na fałszywostwo i że jest odpowiedni czas i możliwość, by wyjaśnić sprawę. Padło również pytanie o losy dóbr kultury polskiej, lecz nie spotkało się z zainteresowaniem. Zebranych interesowały sprawy związane jedynie z kulturą ukraińską. Przed spotkaniem radzono mi nie zabierać głosu...

Podczas wizyty w Obroszynie, w dawnym pałacu biskupów lwowskich (obecnie Instytut Rolnictwa), dokąd udałam się z zyczliwym Ukraińcem w celu ustalenia losów zaginionej, prze-

NOTATNIK ANGIELSKI (1)

Andrzej W. Pawluczuk

4 MAJA wyjechałem do Wielkiej Brytanii, gdzie na zaproszenie organizatorów międzynarodowego festiwalu teatralnego w Brighton (Brighton International Festival, 5-19 maja 1989) miałem towarzyszyć, jako tzw. obserwator, lubelskiemu teatrowi „Gardzienice”. Pełna nazwa naszego teatru brzmi: Stowarzyszenie Teatralne „Gardzienice” Zespół Praktyk Teatralnych i tę długą nazwę Anglicy pracowicie respektowali. Ale ja będę w swoim „notatniku” mawiał krócej. Nie jest to brak szacunku dla zespołu, który najwybitniejsi krytycy sytuacji dzisiaj w ścisłej czołówce światowej awangardy teatralnej. Tak będzie prościej. Natomiast już bez żadnych skrótów i niedomówień opowiem o pobycie „Gardzienice” w Brighton i o wszystkich problemach, których tutaj — w Lublinie — nikt od lat nie chce bądź nie potrafi rozwiązać na tyle, aby ten wybitny zespół artystyczny miał godziwe warunki do pracy. Ale najpierw będzie niebo i Anglia i to, co zobaczyłem tam oczami Europejczyka wschodniego i kontynentalnego.

4 maja, wysoko nad chmurami. Nieczęsto podróżuję samolotem, dlatego wyobrażałem sobie, że do Londynu polecimy najkrótszą drogą, czyli na przelaj. Zapomniałem już, że trzy lata temu leciałem do Paryża nie przez Berlin, ale Pragę. Jednak tym razem „zygzak” był bardziej skomplikowany, niczym podróż z Lublina do Warszawy przez Kraków.

Najpierw poleciliśmy nad Bałtyk, a że samolot leci szybko, więc oglądając skrawki Szwecji i Danii, miałem jeszcze przed oczami polską ziemię, polski kawałek Bałtyku i polskie powietrze. Powietrze przed oczami? Właśnie tak, polskie powietrze widoczne jest gołym okiem i to jest miarą katastrofy. Otóż lecąc nad Polską, nie widzi się linii horyzontu. Dał, jaką ma się przed sobą, to jasno-

szara mgła. Ziemię widać przez tę mgłę, ale tego miejsca, gdzie styka się z niebem, dojrzeć już nie można.

Dopiero nad morzem, w miarę, jak oddalamy się od polskiego lądu, powietrze staje się czystsze i coraz bardziej przejrzyste. A wraz z tą przejrzystością dostrzega się, że im dalej od naszego brzegu, tym woda jest mniej szara. Nie chcę powiedzieć: mniej brudna, ale właśnie tak, jak to widziałem — mniej szara, by w pobliżu wybrzeży szwedzkich i duńskich zbliżyć się do barwy, którą można w dużym przybliżeniu określić jako ciemnoniebieską.

Bałtyk jest więc brudny, bardzo brudny, brudny do granic wytrzymałości. Na czystej wodzie tak tego nie widać, tutaj natomiast każdy statek, a nawet niewielki jacht, zostawia za sobą długą, bardzo długą smugę, gdyż cząsteczki brudnej wody nie układają się tak samo jak przed zabełtaniem. Spróbujcie zrobić taki eksperyment w brudnej kałuży. Słowem — daje to taki efekt, jakby przejechało się palcem po dobrze zakurzonej stole.

Lecimy nad Bornholmem. Takie same domki ze spadzistymi, krytymi czerwona dachówką dachami jak w pobliskiej Szwecji i Danii, ale i takie same jak na polskim Pomorzu. To jest oczywiście frazes, że dystans wyostrza spojrzenie, że z oddalenia wiele rzeczy widzimy lepiej. Ale tym razem ten frazes niesie ze sobą jakąś cząstkę prawdy, która przyprawia o smutek.

Wybrzeże Bałtyku czyni z góry wrażenie, jakby był to jeden kraj. Naturalnie — nigdy to nie był jeden kraj, ale warunki życia sprawiły chyba, że przez stulecia ukształtowała się na tym terenie jakaś wspólnota cywilizacyjna. Nie zetknąłem się w antropologii z terminem „kultury bałtyckiej”, ale taką kulturę, taką wspólnotę widać gołym okiem. Identyfikacja architektura użytkowa i sakralna, identyczne zagospodarowanie

przestrzeni oraz taka sama szachownica niedużych pól. I dopiero bliżej ziemi widać, jak daleko oddaliliśmy się do tej północno-bałtyckiej wspólnoty.

Ci, którzy powiadają, że struktura agrarna naszego rolnictwa jest nieodpowiednia i dlatego nie mamy co jeść, mówią po prostu bzdury. Z góry widać to lepiej: szachownica pól w Szwecji i Danii jest taka sama jak u nas, ani większa, ani bardziej równa. Skala porównawcza zaraz się zresztą rozszerza, ponieważ omijając uważnie NRD (ciekawe, co tam mają do ukrycia, że nie przepuszczają samolotów pasażerskich?), lecimy następnie nad Republiką Federalną i zbliżamy się do Anglii. Mniej więcej tak samo, jednak w miarę, jak zniżamy się nad Wyspy Brytyjskie, robią się one coraz bardziej różne od kontynentu.

Zieleń, bujna zieleń w ogromnej ilości jest tym, co odróżnia od razu Anglię od reszty Europy.

4 maja, Heathrow. Ogrom, przestrzeń, luz i brak pośpiechu, chociaż co minutę ląduje tutaj bądź startuje jeden samolot. Ale dzięki temu, że taki tutaj ruch, mogę zaobserwować, jak traktowani są podróżni z różnych części świata.

Po wyjściu z „rękawa” wchodzimy do długiego, oszklonego korytarza, przedzielonego barierkami na dwie części. Jedna część — dla podróżnych ze „Wspólnoty Europejskiej”, druga — dla innych krajów („other countries”). Dyskretnie podglądam parę, która leciała ze mną dwa rzędy dalej. On — szczupły, wysoki blondyn; ona — czarna, chyba Tamiłka, wyraźnie od niego młodsza. Na razie idą razem z nami, ale gdy dochodzimy do stanowisk kontroli paszportowej, on ją zostawia i przechodzi przez wyjście oznaczone napisem: „Tylko Brytyjczycy”. Czegoś takiego nie widziałem nigdzie w Europie. Ale zaw-

sze słyszałem, że Anglia jest inna. I inna jest rzeczywiście. Ten wysoki Brytyjczyk przeszedł spokojnie, przez nikogo nie zaczepiony. Nikomu nie pokazywał swoich papierów, nikt mu nie zaglądał w bagaż, nikt go o nic nie pytał. On po prostu przeszedł sobie przez barierkę i czekał spokojnie na swoją kobietę.



„Wydał mi się postacią znaną i znajomą”.

Fot. Autor

ZAMEK GRAVENSTEEN

FIZYK W GANDAWIE

Tomasz Goworek

KIEDYS wyniki pracy całego życia publikował uczony w jednej księdze. Potem przyszła epoka czasopism, w których naukowiec zamieszczał obszerne artykuły, referujące w szczególności pewną zamkniętą całość. Dziś niecierpliwość informacji wzrosła i pracownik naukowy najczęściej ogłasza krótkie komunikaty w czasopismach typu „Letters” i wymienia najświeższe informacje, nawet najbardziej cząstkowe, na międzynarodowych konferencjach specjalistycznych.

W mojej specjalności konferencje odbywają się raz na trzy lata. Miejsca spotkań: Japonia, Teksas, Indie... Tym razem jest to Belgia, Gandawa. Dużo bliżej. I dużo taniej. Konferencję pomyślano jako „tanią” (małe opłaty, hotele i stolówki studenckie), aby również ludzie młodzi, początkujący, mogli wziąć w niej udział. Owa „tania konferencja” oznacza oczywiście dla Polaka, a dla UMCS tym bardziej, „całkiem droga”. Tydzień pobytu nawet w hotelach studenckich plus opłaty konferencyjne itd. Stanowią nie byle wydatek z dziurawej dewizowej kiesy.

Nie wiedzieć, czemu komitet programowy konferencji umyślił sobie, żeby jeden z 13 referatów przeglądo-

wych wygłosił wyżej podpisany. „Invited lecturer” — obojętne, ze wschodu czy zachodu — jest na wikcie i pomieszkaniu organizatorów, tak więc problemy dewizowe na tyle się rozwiązały, że chociaż jeden przedstawiciel Lublina mógł udać się do Gandawy.

BYŁ koniec sierpnia 1988. Ładując w Belgii, nie poczułem specjalnie przekroczenia granicy. Oczywiście, te sklepy... Poza tym — czułem się jak w kraju. Choćby kraj obraz za miastem: równina, małe polećka, domy raczej stare. Ale i inne podobieństwa. Przesiadka w Brukseli — pociąg się spóźnił, na monitorach nawet nie wyświetlono informacji, ile wynosi to spóźnienie. Innym razem pociąg zatrzymał się na stacji, ale drzwi w całym składzie się zablokowały, pasażerowie biegali po peronie od wagonu do wagonu, aż ktoś otworzył je od wewnątrz awaryjnie. W dniu przylotu zrobił się upał; w hallu, gdzie było biuro konferencyjne, stał automat z napojami — nieczynny. Po zarejestrowaniu się poszedłem do windy — nieczynna. Oddajmy sprawiedliwość — naprawiają ją szybko. Mieszkaliśmy w domu studenckim, po przyjeździe poszedłem pod prysznic. U polowy pryszniców brak siatek, u innych kurki się nie kręcą, po uchwytach na mydło jest tylko ślad w ścianie, po za-

ciągnięciu plastikowych zasłonek z fald wylania się ryzy brud. Do śniadania ustawiano w stolówce dwa zbiorniki. Na jednym pisało: KOFFIE, na drugim nic, obok stała miska z torebkami herbaty. Włożyłem torebkę do filiżanki, podstawilem pod zbiornik nieoznakowany, nacisnąłem kurek — pociekła kawa. Wylałem kurek herbatę i nacisnąłem kurek „koffie” — czysty wrzątek.

Jest tu zupełnie swojsko. Przed naszymi domami uliczka z kostki kamiennej, mocno wyboista, po drugiej stronie wysypisko porośnięte zielskiem, gdzieś tam wystają połamane cegły, za wysypiskiem widać małe domki, przypominają się Lubartów albo Kraśnik. Stara encyklopedia Sikorskiego z 1899 r. pisze o Gandawie:

„Miasto dzieli się na górne, zbudowane na górze św. Piotra (najzdrowsza dzielnica), i dolne, wilgotne i niezdrowe. Miasto posiada bardzo urozmaicony wygląd; niektóre dzielnice mają pozór zupełnie nowoczesny, przeciwnie, śródmieście ma ulice wąskie i piwnice wychodzące na ulicę i służące za mieszkanie ubogiej klasie”.

No nie, tych wejść do piwnic już nie ma, nikt w piwnicach nie mieszka, ale okolice centrum są zapuszczone. Tak jest w wielu miastach: nowe dzielnice powstają na peryferiach, jakiś fragment centrum jest zadbany zabytkiem, między jednym a drugim obszar nijaki, przejściowy, z którym nie wiadomo, co zrobić. Pod witrażami pięknych sklepów, między ścianą a chodnikiem rośnie niekiedy bujna lebioda albo oset.

„Ganda” znaczy po celtycku miejsce u zbiegu rzek, międzyrzecze. Rzeki płyną tu kręto, z jednej strony starego miasta — Leie, z drugiej — Skalda; Leie, zanim wpadnie do Skaldy, zatacza meandry, zbierając jeszcze po drodze wody Lieve prze-

plywającej obok zamku; są starorzecza, odgałęzienia, są kanały wykopane w ciągu wieków. Całe miasto poszatkowane jest na wiele wysp. W zakolu Leie kilka pagórków, tak więc niektóre uliczki biegną całkiem stromo. To miasto, wraz z sąsiednią Brugią i kilkoma innymi miastami flandryjskimi, stanowiło w średniowieczu prawdziwe centrum Europy. Pamiątki tej średniowiecznej świetności spotyka się na każdym kroku.

DY miałem sześć—osiem lat, zafascynowany błędnymi rycerzami, turniejami, zamkami na niedostępnych górach, całym kolorowym sztafżem średniowiecza. Egzotyka: te konie, miecze i rogi noszące imiona jak ludzie, te Durandele, Nothungi, Excalibury. O źródła do takich zainteresowań było trudno, stąd też moja wiedza była tyleż skąpa co przypadkowa, dziś już nie bardzo potrafię powiedzieć, skąd ją czerpałem; ile i jakich książek mogło być w domu wiejskiego nauczyciela? Jeżeli już coś, to klasyka polska, a nie romanse rycerskie czy historia. Poza tym była wojna.

Na moją edukację rycerską składało się trochę opowieści ojca (niezwykle: Zygryd kąpiący się we krwi Fafnira i listek, co przykleja się do jego pleców, Roland w Roncevaux — skąd ojciec to znał?), trochę obrazków w widzianych u ludzi książkach, trochę opowiadań w czasopismach ilustrowanych, przechowywanych po domach. Lubilem towarzyszyć matce w wizytach u krawcowej, bo tam wisiał na ścianie śliczności oleodruk z Lohengrinem, łabędziem, z giermkami, co to odziani w lewą nogawkę niebieską, prawą białą, dzierżą tarcze z herbami i proporce wyszywane w orły i gryfy. Sam uważałem się za Parsifala. Kiedyś zobaczyłem wysiadającą z pociągu rodzinę niemiecką: rodzice szli z chłopcem ubranym w zbroję. Nie wiem, z czego była, z tektury, bo chyba nie z blachy, ale

Nas tymczasem ustawiono w ogonek i urzędniczka w mundurze kierowała każdego do boxu, w którym siedział funkcjonariusz urzędu ds. imigracji (tzw. immigration officer). Należało odpowiedzieć na trzy pytania: o zawód, jak długo będzie się w Wielkiej Brytanii i czy ma się tutaj rodzinę. Zalatwiono mnie bardzo szybko, przybito w paszporcie wizę na sześć miesięcy, po czym poproszono do dwóch osób, które nie potrafiły odpowiedzieć po angielsku na żadne pytanie.

Poczułem się trochę głupio, że moi krajanie, młodzi, dwudziestoparoletni chłopcy, nie potrafili wyuczyć się przed wyjazdem tych marnych dwustu-trzydziestu słów, aby porozumieć się w najprostszych sprawach. A więc przyjechali do fizycznej roboty. Oficer imigracyjny patrzy na mnie bez słowa, ale tak, abym dostrzegł, że on — wie. Wie, ale nie ma żadnych podstaw, aby tych chłopców nie wpuścić do swego kraju i z westchnieniem pieczętuje ich paszporty.

Tak... już na lotnisku widać, że Wielka Brytania to kraj praworządny, gdzie funkcjonariusz państwowy ma obowiązek ufać każdemu dopóty, dopóki nie przylapie go na łamaniu prawa. A tych dwóch immigration officer nie przylapał, więc może tylko westchnąć i spojrzeć na mnie porozumiewawczo.

Kontrolę celną przeszedłem w ten sposób, że nawet nie zorientowałem się, że taka kontrola w ogóle istnieje. Po prostu nagle znalazłem się w ogromnej poczekalni; sam na sam z obcym, wielojęzycznym, kolorowym tłumem, gdzie każdy zajęty był swoimi sprawami i na nikogo nie zwracał uwagi.

Najpierw zająłem się sprawą pieniędzy, gdyż musiałem zatelefonować. Ze względu dla mnie całkowicie niezrozumiałych nie mogłem w Polsce zamienić swoich dolarów na brytyjskie funty. Nie dlatego bynajmniej, że w polskich bankach funtów brakuje. Dlatego, że się nie wymienia, i koniec (może ktoś mi tę rzecz wyjaśni?). Tutaj podszedłem do okienka, bez słowa podałem studolarowy banknot i o nic nie pytany, zamknąłem swoje funty. Słowa potrzebne były mi tylko po to, aby poprosić o bilon na telefon.

Wierzę mi, bardzo to przyjemne uczucie, kiedy człowiek robi swoje i

nie musi się z niczego tłumaczyć, a zwłaszcza z faktu, że ma zagraniczne pieniądze. A pomyślałem o tym, pamiętając, że w przeddzień musiałem stać wiele godzin w kolejce, aby wykupić w banku przysługujące mi 10 dolarów. To było i przykre, i upokarzające, gdyż aby zamienić swoje złotówki na pieniądze zagraniczne, musiałem wylegitymować się dwoma dokumentami.

4 maja, metro, zwane tutaj underground, a potocznie — tube, czyli ru-ra. W porównaniu z metrem paryskim robi wrażenie przyciasnego i małego. I jest głośniejsze, ponieważ pociągi jeżdżą na kołach stalowych, a nie — jak w Paryżu — gumowych. Placi się też inaczej (od stacji do stacji) i dużo drożej. Z Heathrow do centrum Londynu bilet kosztuje dwa funty i dwadzieścia pensów. Dla kogoś, kto przyjechał prosto ze Wschodu, jest to wielka fura pieniędzy.

4 maja po południu, Londyn. Z „Gardzienicami” umówiony jestem na wieczór 6 maja w Brighton, mam więc dwa dni na zwiedzenie Londynu. Tymczasem kieruję się na King'sway, gdzie w polskiej sekcji BBC mam się spotkać z Markiem Cajzrem. Jest to dziennikarz, który od lat pracuje w brytyjskim radiu i który ma mi ułatwić pierwsze kroki na Wyspie, jestem tu bowiem po raz pierwszy.

Ledwie wszedłem i trochę się odświeżyłem, już sadzają mnie przed mikrofonem i zadają pytania o sytuację w Lublinie. Ale pytano mnie także o cel mojego pobytu w Londynie, toteż miałem okazać aby via Wielka Brytania powiedzieć polskim słuchaczom parę słów o teatrze „Gardzienice”.

Polska redakcja BBC zajmuje kilka niewielkich pokoi w ogromnym biurowcu na końcu Kingsway, zwanym Bushhouse. Wszyscy dziennikarze to Polacy, którzy opuścili Kraj stosunkowo niedawno. Marek, o czym dowiaduję się dopiero na miejscu, jest wicedyrektorem polskiej sekcji, a objął to stanowisko po dziesięciu latach pracy. Ale na bardziej szczegółowe wypytywanie będzie czas wieczorem, kiedy pojedziemy do domu Marka, który zaprasza mnie w gościnę, „na jak długo zechcę”. Na razie spieszę no mi „do miasta”, aby przed zapadnięciem zmierzchu coś jeszcze zobaczyć i zrobić parę fotografii.

Każde wielkie miasto europejskie ma w sobie coś takiego, co sprawia, że czuje się, iż jest to wielka metropolia. Każde też inaczej pachnie i jeżeli ktoś jest wrażliwy na zapachy jak ja, za każdym razem odczyta ten indywidualny oddech murów i milionów ludzi.

Zapach Londynu jest zdecydowany i raczej przyjemny. Chociaż jeździ tutaj więcej samochodów niż w całej Polsce, nie czuje się takiego smrodu spalin jak na Narutowicza w Lublinie. Brytyjczycy jeżdżą bardziej ostro niż Francuzi, toteż nie polecałbym nikomu przechodzenia jezdni przy czerwonym świetle. Policja na to zupełnie nie reaguje, ale Londyn to nie Paryż, po którym każdy chodzi, jak chce i gdzie chce. Dodatkowe utrudnienie dla przybysza z kontynentu stanowi tujejszy ruch lewostronny. Prawdę mówiąc, nie umiałem przyzwyczaić się do tego przez całe dwa tygodnie i za każdym razem, kiedy przechodziłem przez ulicę, musiałem podwójnie uważać.

Według standardów kontynentalnych Londyn można też uznać za miasto... brudne. W każdym razie nie widać tutaj tego nieustannego pucowania, sprzątania i czyszczenia jak we Francji czy Republice Federalnej. Ba, natknąć się nawet można na śmieci sprzed paru dni, co na przykład w Paryżu jest raczej nie do pomyślenia. Ale trzeba uczciwie powiedzieć, że żadne porównania z Polską nie są w tej mierze możliwe, bo tylko w Polsce widziałem kilkuletnie brudy i śmieci, leżące od lat w tym samym miejscu.

Europejczyk czuje się w Londynie dobrze i swojsko. Co rusz bowiem natyka się tutaj na miejsca, które zna z obrazów, fotografii i filmów. I nawet ten stary Szkot, który grając na kobzie dorabiał sobie do skromnej (zapewne) emerytury, a którego ochoczo obfotografowałem, wydał mi się postacią znaną i znajomą.

Do wieczora obmędłem spory kwartał Londynu. Najpierw elegancką Aldwych i Strandem doszedłem do Trafalgar Square, po czym wolno poczłapałem w stronę Westminsteru i Parlamentu, mijając po drodze słynną Downing Street, zamkniętą — niestety — dla ruchu i pilnowaną przez policjantów. Moja legitymacja polskiego dziennikarza nie przekonała

uprzejmych stróżów porządku, że mogłbym tam wejść tylko na chwilę, aby sfotografować siedzibę pani premier, którą tak w Polsce lubimy i szanujemy. Lubimy ją chyba bardziej niż sami Brytyjczycy, o czym miałem się później przekonać w kilku angielskich domach, gdy rozmowa schodziła na sprawy polityczne. Ale o tym będzie w następnych odcinkach mojego „notatnika”...

Wróciłem z tej przechadzki do Bushhausu i BBC około godziny dziewiętej, i po dobrej, smacznej i taniej kolacji w dziennikarskiej stolówce (kurczak pieczony, frytki, salata, piwo) wyszedłem z Markiem do metra.

Przed wejściem do eleganckiego banku na eleganckim Strandzie, na chodniku, przykryty koldrą bez powłoczki, ułożył się do snu mężczyzna. Nie wypadło mi patrzeć na niego jak na widowisko, zresztą na pierwszy rzut oka widać było, że nie jest to pospolity włóczęga, jakich pełno we wszystkich miastach świata.

— Oto widzisz skutki thatcheryzmu — powiedział Marek. — Z jednej strony niesamowity boom gospodarczy, szybkie fortuny i wielkie pieniądze. Ale z drugiej strony, warunki życia stały się bardziej twarde i ludzie słabsi. Mniej przedsiębiorczy czy nawet mniej odporni psychicznie zostali wyrzuceni za burtę. Kiedyś zajmowała się nimi wszystkimi opieka społeczna, teraz wielu z nich zostało pozostawionych swojemu losowi. Toteż Brytyjczycy nie bardzo pojmują, jak to jest, że pani Thatcher, która zamyka brytyjskie kopalnie i poskramia związki zawodowe, jest przez polskich związkowców tak serdecznie goszczona.

— Ona jest popularna i lubiana, gdyż poskramia także kogo innego — odpowiedziałem. — A jeżeli Brytyjczycy o tym nie wiedzą, chętnie powiem to przez wasze radio.

Ale okazało się, że nie ma takiego „zapotrzebowania” i tak oto umknęło mi sprzed nosa parę funtów, które mogłbym łatwo zarobić.

(cdn.)

to był szok. Potworna zawiść. Żadna tam wojna, ta dziecierna zbroja rozbudziła we mnie na długo nienawiść do Niemców. Ja, prawdziwy Parsifal, mogę marzyć jedynie o walonkach na zimę, a to Szwabie...

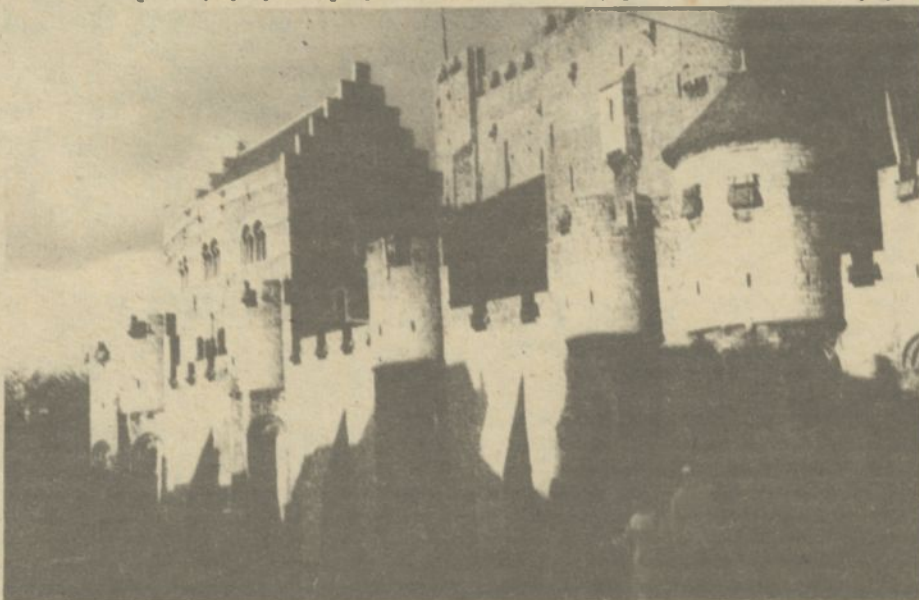
Ina zaczęła robić „na kompletach” gimnazjum. Pożyczono książki, między innymi geografii Europy. Pod warunkiem mycia rąk mogłem oglądać dowolnie długo. Co zapamiętałem? Ratusz w Louvain i zamek s'Gravensteen w Gandawie. Ratusz był niepoważny, wydawał mi się zbudowany z kruchych ciałeczek, jakie wyciska się przez maszynkę. Co innego zamek. Niewiele zamków mogłem zobaczyć nawet na obrazku, Gravensteen z podręcznika geografii stał się dla mnie bardziej symbolem niż zamkiem. Gdybym widział więcej, pewnie zauroczyłyby mnie zamki takie, jak podrabiany Neuschwanstein: bajkowe, romantyczne (i kiczowate). Gravensteen nie miał w sobie nic romantycznego, ponura bryła, która bardziej nadawała się na siedzibę smoka, wilkołaka, niż szlacheckich rycerzy. Tak go zapamiętałem ze zdjęcia: czarna sylwetka kamiennego świątyni muru, zwalsta brama. Nazwę zamku wyprowadzałem sobie raczej od niemieckiego „Grabe” — grób, a nie od „Grav” (flamandzki „Grav”) — hrabia, o śladnych hrabiach Flandrii zresztą w ogóle nie słyszałem.

Gdy prawie w pół wieku później znalazłem się w Gandawie, pierwszą rzeczą było pójść obejrzeć zamek. Ja urosłem, zamek amalal. Okazał się nie zamczyskiem, a raczej zamczkiem, niemniej pełnym tej zapamiętanej ponurej dostojności. Nie mógł być ogromny, skoro założył go Baldwin Żelazne Ramię w IX wieku, w czasach, kiedy my — Kupalo, hej! — biegaliśmy jeszcze w łapach skrobory i łęgi. Jeden z późniejszych hrabiów, Filip z Alzacji, wróciwszy z wojny krzyżowej, kazał przebudować zamek na wzór tych, jakie oglądał w

Syrii, Palestynie. W 1180 ukończono dzieło.

SZEDŁEM uliczkami na lewo od rzeki i zamek ukazał mi się od strony Mostu Ściętych widokiem owalnego muru, wystającego wprost z rzeki i fosy, naszpikowanego gęsto półokrągłymi machikulami. W popołudniowym słońcu wydawał mi się całkiem jasny, zbudowany z bloków wapienia, jedynie przykurzo-

blankach donżonu, rozległy się dzwony całego miasta. A jest w co bić, carillon na wieży belfortu liczy czterdzieści dzwonów. Potężna melodia się niesie, ja na szczęście, obok mnie powiewa biały lew w czarnym polu, ów dzie czarny lew w żółtym, zza krenelazy klują niebo wszystkie wieże Gandawy, pode mną zamkowe przejścia i krużganki, dalej morze czerwonych dachów, jeszcze niżej, u samych stóp, fosą płynie stateczek. Gdyby to



Gravensteen — pełen tej zapa miętanej ponurej dostojności.

Fot. Autor

nych wiekiem. Zza muru wylaniał się romański dom hrabiego i prostokątny donżon.

Z aparatem i zapasem filmu ruszyłem na zamek. Los, jeśli już zaniesie mnie w miejsce niedzisiejszych murów, lubi dodać dla podkreślenia swej łaskawości odpowiednią oprawę. Była niedziela i gdy stanąłem przy

było to czterdzieści lat temu, pokłębym z dumy. Teraz nie pokłębem, ale jednak wracałem tu przez kilka dni; po ośmiu latach przerwy wróciła mi pasja fotografowania. Moje „36 widoków Gravensteen” — zamek w deszczu i w słońcu, o poranku i wieczorem, od zewnątrz i od wewnątrz, z perspektywy bruku i ze szczytu donżonu, na tle obłoków i odbity w wodzie.

Zamek oczywiście restaurowano, mimo to uchodzi za jeden z najlepiej zachowanych zamków z tej epoki w Europie. Hrabowie opuścili go przed sześciuset laty, jeszcze w 1445 Filip Dobry wydał tu ucztę dla kawalerów orderu Złotego Runa. Potem zamek podupadł, przez czas jakiś mieścił nawet małą tkalnnię. Wiek industrializacji nie miał szacunku dla zabytku. Co tam zamek, jeżeli w Lublinie nawet kościół przebudowano na browar, co dziś, za socjalizmu, byłoby nie do pomyślenia.

Komnaty hrabiowskie mają ściany z surowego, układanego z brył muru (chyba tylko po zasłonięciu tkaniną mogło to być podobne do pomieszczeń mieszkalnych), małe okienka, wszystkiego na kilka salkanych gomótek, komnata hrabiny miniaturowa. Wydaje się, że najwięcej miejsca w całym zamku zajmowały sala tortur i lochy; czynne jest muzeum stosownych instrumentów. Niektóre komnaty nie są wcale małe, mogłyby pomieścić ze dwie setki wojów, za to jest ich niewiele.

Może zresztą zamek tylko wydaje się pomniejszony przez jego otoczenie? Jest wciągnięty w środek miasta, otoczony domami, tramwaj przejeżdża o parę lokci od bramy, pochyły podjazd zamkowy sięga do samego torowiska. Wytająca na środek ulicy brama trójkąta jest ozdobiona machikulami, widocznie lanie wronki i amoty przewidziane było jako podratowa-wa metoda obrony.

Zamek zaliczony, pora zająć się nauką. Od poniedziałku zaczynamy obrady.

(Koniec odcinka 1. — cdn.)

JEDEN Z KATYNIA

GENERAL MIECZYŚLAW M. SMORAWIŃSKI (1893-1940)

Leszek Wiśniewski

WSZYSTKO, co nastąpiło bezpośrednio po 17 września, do dziś pozostawia wiele niejasności. Jak utrzymuje Włodzimierz T. Kowalski („Życie Literackie” 18.09.1988), trzech generałów — dowódcy Okręgów Korpusów granicznych z ZSRR: Franciszek Kleberg (OK IX), Józef Olszyna-Walczyński (OK III) i Mieczysław Smorawiński (OK II), „[...] na własną odpowiedzialność zakazali otwierania ognia”. Można przypuszczać, że generałowie, podejmując te doraźne decyzje, liczyli się z konsekwencjami politycznymi podjęcia otwartej walki z wojskami radzieckimi do czasu otrzymania jednoznacznych dyrektyw Naczelnego Wodza.

General Smorawiński najwidoczniej nie miał połączenia z Naczelnym Dowództwem, gdyż usiłował porozumieć się z nim za pośrednictwem gen. Langnera. Radiodepesza Langnera, częściowo zniekształcona, została w sztabie Naczelnego Wodza rozszyfrowana, i to niekompletnie, dopiero po godz. 12. A oto jej brzmienie:

„Naczelnik Wódz Smorawiński melduje przekroczenie granic pod Korcem i Zbarazem. Smorawiński zakazał walki z nimi. Sowieckie wojska nie strzelają do naszych oddziałów. Smorawiński prosi rozpoznać kierunek...” (treszła depeszy nie do odczytania).

Tymczasem sztab Naczelnego Wodza rozważa sytuację. Po pierwszej decyzji, aby bić się z nowym przeciwnikiem, przychodzi refleksja: [...] w godzinach południowych sypią się meldunki. Pancerne i zmotoryzowane wojska sowieckie wjeżdżają w szyku pokojowym, z białymi chorągiewkami, głosząc pomoc Polsce w wojnie z Niemcami. Oddziały polskie zdezorientowane. Jedne wierzą bolszewikom, inne biją się do upadłego. Krew polska przelewa się bezowocnie. I pada druga decyzja: zaprzestać ognia” (według płk. Józefa Jaklicza w: „Polskie Siły Zbrojne”, t. 1, cz. 4).

Nie wiadomo, w jakiej formie i brzmieniu ta decyzja dotarła do gen. Smorawińskiego. Natomiast źródła zgodnie potwierdzają, że w nocy z 17 na 18 września d-ca OK II, gen. Mieczysław Smorawiński, przybył do Włodzimierza Wolińskiego na odprawę. Wzięli w niej także udział trzej inni generałowie: Kazimierz Sawicki (d-ca grupy „Włodzimierz”), Mieczysław Trojanowski (d-ca OK I) i Juliusz Kleberg (z-ca d-cy OK II). Postanowiono zwolnić z szeregów wszystkich żołnierzy zamieszkałych na wschód od Bugu. Pozostali mieli przebiec się na Węgry. Jeszcze tej nocy trójka generałów udała się samochodami w kierunku południowej granicy państwa. Tylko jednemu z nich udało się jednak dotrzeć do Francji. Gen. Smorawiński najwidoczniej nie wierzył w możliwość dotarcia z wojskiem do Rumunii, sam zaś, pozostawiając żołnierzy, wyjeżdżał nie chciał.

18 września nastąpiła częściowa demobilizacja. Po jej wykonaniu pozostały trzy bataliony, które przeszły na zachodni brzeg Bugu. Jednakże już następnego dnia gen. Smorawiński zawrócił dwa bataliony (trzeci odszedł na zachód) pod dowództwem płk. Zawislaka — do Włodzimierza. Mogłoby to wskazywać na pomyślny przebieg rokowań z dowódcami radzieckimi. Nawiazanie tych rozmów było zgodne z dyrektywą Naczelnego Wodza, nakazującą pertraktacje w celu uzgodnienia wyjścia polskich żołnierzy z garnizonów z bronią do Rumunii lub na Węgry. Stało się inaczej...

19 WRZEŚNIA 1939 r. [jak pisze Karol Liszewski — „Wojna polsko-sowiecka 1939 r.”] w godzinach wieczornych czołgi sowieckie wkroczyły do Włodzimierza Wolińskiego i po otoczeniu Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii zażądano poddania się. Na skutek tego żądania gen. Smorawiński [...] wysłał dwóch oficerów do generała sowieckiego Bogumolowa, że podda się jedynie w tym przypadku, jeżeli wojsko będzie mogło uciec się do Bugu. Na podstawie wyrażenia zgody [...] nastąpiło dwustronne podpisanie umowy, mocą której cała załoga wraz z tabo-

rem w dniu 20.09.1939 r. w godzinach rannych zostanie odstawiona za Bug z tym jednak, że oprócz oficerów, szeregowi złożą broń.

Dnia 20 września kolumna wymaszerowała w kierunku Uściługu pod dowództwem gen. Smorawińskiego. Jednak na drodze tuż za koszarami pal w lesie zatrzymano całą kolumnę i oznajmiono, że na skutek zaszły zmian sytuacji międzynarodowej oficerowie złożą broń i od tej chwili są uważani jako jeńcy wojenni. Jakkolwiek obrona była niemożliwa, a to dlatego, że kolumna była otoczona czołgami, a szeregowi byli rozbrojeni. Kolumnę zawrócono na Łuck marszem pieszym... A więc znów miało miejsce sowieckie oszustwo”.

Tragiczne wydarzenia z 19 i 20 września we Włodzimierzu Wolińskim tak relacjonuje naoczny świadek, podchorąży rezerwy J. W., żołnierz zgrupowania płk. Kudyby, obserwator na weży kościoła włodzimierskiego:

„Znalazłem się w oddziale ochraniającym ludność polską przed mordami Ukraińców, wycofywaliśmy się w kierunku Horodla. Tam dotarła wiadomość o wkroczeniu bolszewików i rozkaz marszu na Włodzimierz. Nie pamiętam dokładnej daty [było to zapewne 19 września — L. W.]. Późnym wieczorem weszliśmy do miasta, zakwaterowaliśmy się w koszarach Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii i położyliśmy się spać w korytarzu, było ciasno. Dzięki temu znaleźliśmy się blisko oficerów, którzy przemawiali. Był wśród nich generał Smorawiński. Powiedział tak: »Wystaliśmy parlamentariuszy do Sowietów. Nie wracają. Słychać warkot czołgów, więc idę do nich sam«. Czekaliśmy, czy wróci? W sienie mgle dostrzegliśmy trzy sylwetki. Wrócił... Oświadczył: »Nie mogłem uzyskać tego, byśmy z bronią w ręku mogli przejść do Bugu, gdzie mają nas puścić wolno. Udało mi się wynegocjować tylko to, że oficerowie zachowają broń boczną, a całość po rozbrojeniu zostanie uformowana w kolumnę i pod eskortą sowieckich czołgów, dla ochrony przed Ukraińcami, odprowadzona do Bugu. Nim złożyliśmy broń, generał powiedział: »Pamiętajcie, że żołnierz polski składa broń z honorem i z honorem będzie ją brał. Niech żyje Polska!«. Nasze głosy odbiły się echem od koszarowych ścian. Ostatnim echem wolności...”

Ustawiono nas, w szeregi i kolumną pomaszzerowaliśmy w stronę Bugu. Opodal koszar pal-u zatrzymano nas, odebrano oficerom broń i wszystkich zawrócono do Włodzimierza. Tam stłoczono nas w więzieniu”.

INTERESUJĄCE światło na okoliczności wzięcia do niewoli polskich żołnierzy i oficerów rzuca dokument opisany w notatce prasowej z okupacyjnego „Gońca Krakowskiego” (29.05.1943) zatytułowanej: „Ważny dokument odnaleziony w grobach katyńskich”. Oto jego treść:

„Smoleńsk, 28 maja. Członkowie ekipy Polskiego Czerwonego Krzyża, pracujący w lesie na Koziej Górze przy akcji ekshumacji szczątków pomordowanych przez bolszewików oficerów armii polskiej, znaleźli ostatnio przy zwłokach majora Chojnackiego niezwykle ciekawy dokument, pochodzący z drugiej połowy pamiętnego września 1939 roku.

Jest to mianowicie pełnomocnictwo, udzielone majorowi Chojnackiemu, oraz drugiemu oficerowi sztabowemu DOK Lublin, do podjęcia w charakterze parlamentariuszy pertraktacji ze sztabem sowieckim w sprawie przekroczenia granicy polsko-sowieckiej. Dokument ten, własnoręcznie podpisany przez generała brygady Mieczysława Smorawińskiego, nosi wyraźne ślady pieczęci urzędowej Dowództwa Okręgu Korpusu Nr 2 w Lublinie i datę 19 września 1939 r.

Z powyższego wynika, że już w dniu 19 września 1939 r. posuwające się ku wschodnim granicom kraju oddziały wojsk polskich natknęły się na znacznie silniejsze siły bolszewickie, które zmusiły je do złożenia broni. Od tego dnia datuje się gólgota polskiego korpusu oficerskiego, który wówczas nie przy-

puszczał, aby »sąsiedzkie mocarstwo« zgotowało mu takie tragiczne przyjęcie”.

Na liście katyńskiej figuruje dwóch Chojnackich, lecz żaden z nich nie pasuje do wspomnianego wyżej parlamentariusza. Jest tam natomiast nazwisko Edmunda Chojnackiego (Chojnackiego?), majora kawalerii, przy którym znaleziono m. in. dwa listy i pugilares (A. Moszyński — „Lista katyńska”, Londyn, wyd. „Gryf”). Być może to właśnie ten oficer został wysłany przez gen. Smorawińskiego na pertraktacje z sowieckim generałem Bogumolowem.

Ciekawą relację wydarzeń sprzed 17 września złożył mi wspomniany już podchorąży 2 psk z Wolińskiej Brygady Kawalerii, Marian Rejniewicz:

„W rejonie Włodzimierza pojawiły się niemieckie jednostki zmotoryzowane [4 Dyw. Lekka — L. W.]. Nacierali z południa. Tam, pod Włodzimierzem, płynię rzeka Luga, a od strony południowej są wysokie wzgórza, które obsadziła nasza piechota. Jakies trzysta — czterysta metrów od mostu na Ludzie, w rejonie szkoły, obok pomnika Piłsudskiego, znajdowało się zamaskowane stanowisko naszego działka przeciwpancernego. Na most wjechało pięć niemieckich czołgów, które otworzyły ogień w kierunku naszych pozycji. Nie był on celny, lecz spowodował zamieszanie wśród obrońców. Cała obsługa działka, z wyjątkiem dowódcy — sierżanta, uciekła. On sam trafił pierwszy czołg, potem ostatni. Most był wąski, Niemcy nie mogli zawrócić i artylerzysta zniszczył kolejno wszystkie tanki.

Po odparciu ataku podjęliśmy pościg i gnaliśmy Niemców w stronę Bugu. Wracając potem z jakimś meldunkiem i natknąłem się koło szkoły na generała Smorawińskiego ze sztabem, podszedł do tego sierżanta, podał mu rękę, uściśnął go. »No, zuchu — powiedział — czego chcesz, co mógłbym ci dać?« A sierżant, w samej koszuli, obdartej, okopcony, odpowie-

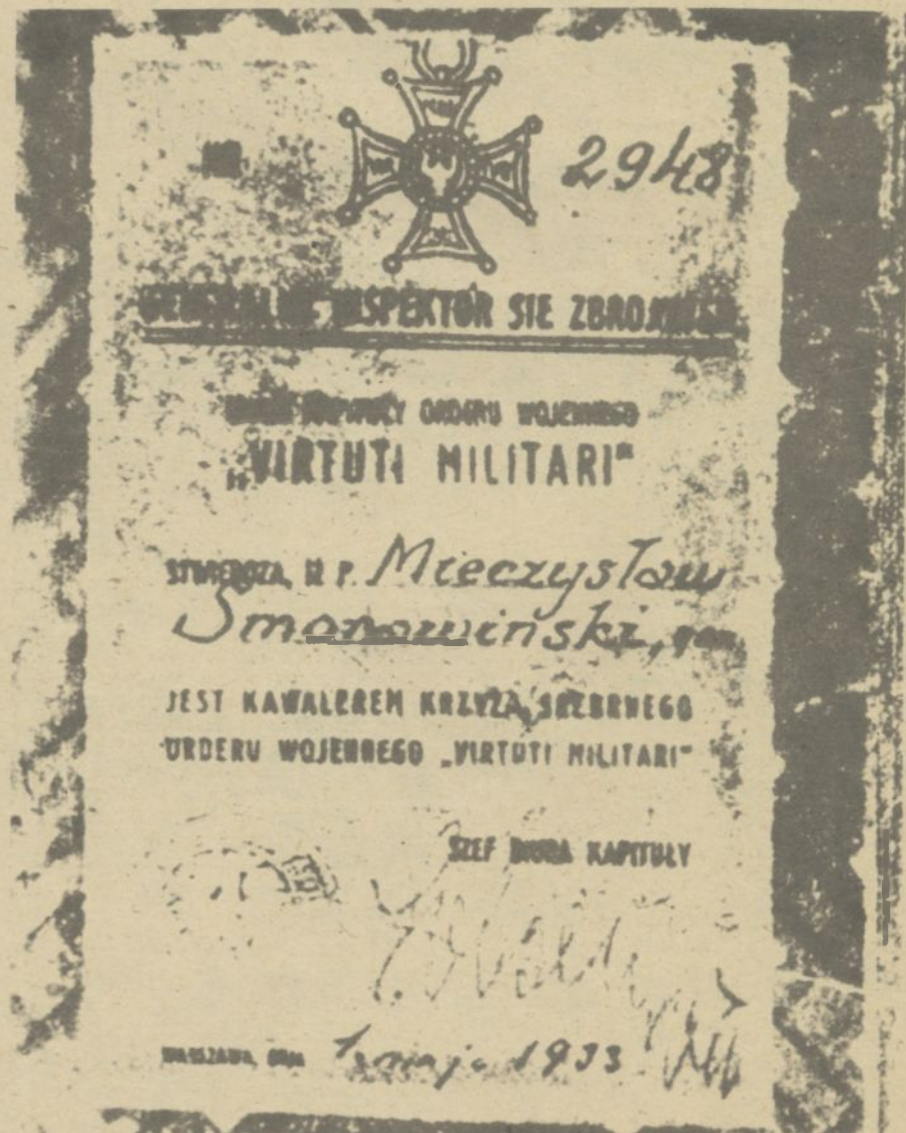
dział: »Chciałbym, panie generale, złapać tych skurwysynów, którzy mi uciekli od działka!« Smorawiński roześmiał się, odpiął swoje odznaczenie i przypiął je do tej brudnej, żołnierskiej koszuli”.

DLUGA była droga Mieczysława Smorawińskiego w radzieckiej niewoli. Wiodła przez obozy w Równem, Ostrogu i Szepetówce, gdzie oddzielono oficerów od żołnierzy, do stacji kolejowej Wiaźniki, położonej ok. 300 kilometrów na wschód od Moskwy. Potem ciężki kilkudziesięciokilometrowy marsz przez głębokie lasy do lagru Talica. Panowały tam koszmarnie warunki bytowania: głód, brak wody (w całym obozie były dwie wysychające studnie), dokuczliwe zimno. Z tego czasu znane są wspomnienia współtowarzyszy obozowej niedoli, którym gen. Smorawiński odmawiał swego udziału w proponowanych ucieczkach. Odpowiadał, że polskiemu generałowi honor nie pozwala uciekać z niewoli, pozostawiając w niej swoich podkomendnych.

W listopadzie 1939 r. gen. Smorawiński został przewieziony do twardego obozu kozielskiego. W Kozielsku, jak twierdził jeniec tego obozu, Edmund Radziwiłł (uwolniony później na interwencję króla włoskiego), postawa generała Smorawińskiego mogła służyć za wzór.

„Nigdy nie słyszałem — pisał w liście — z ust generała tak powszechnej wówczas krytyki przełożonych i odsądzania ich od czci i wiary za przegraną kampanię. Umiał w okolicznościach, w których upadają wszelkie autorytety, zachować spokój i równowagę.

Nie znaczy to, żeby nie przeżywał boleśnie poniesionej klęski. Ale jego rozważania na ten temat były zawsze nacechowane wielkim rozsądkiem i umiarem. Uderzająca była jego pogoda ducha, która udzielała się towarzyszącemu niewoli. Bez słowa szemrania znosił niekiedy trudne i przykre przeżycia.



Legitymacja Orderu Virtuti Militari.

Repr.: Waldemar Stępień

[...] Przez cały czas pobytu w niewoli (mówię o okresie mego w niej również pobytu) zatrzymał na mundurze i płaszczu odznaki generalskie i nosił na piersi Krzyż Wirtuti Militari w przeciwieństwie do tych, którzy pozbywali się odznak, rangi i odznaczeń".

Przebywał najczęściej w towarzystwie mjr. Stefana Pińkowskiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dzieliłi wspólny los do końca, do śmierci w lesie katyńskim.

BOŻE Narodzenie 1939 roku obchodziła pani Helena Smorawińska z dziećmi w radości i nadziei. Krótko przed świętami nadszedł długo oczekiwany list z Kozielska. Jedną kartką wyrwana z notesu. Adres wrotny: „Gorod Kozielsk. Pocztowy jaszczak nomier 12. Smorawiński Mieczysław. Gienieral”.

„Kozielsk 21 XI 39 r.

Kochanie moje!
Nareszcie piszę do Was i to z głębokim przekonaniem, że te parę słów do Was dojdzie. Co najważniejsze, jestem zdrowy, zapewniam Cię, najzupełniej zdrowy. Pobyt tutaj mamy zupełnie znośny. Również jedzenie jest zdrowe, co się odbija doskonale na moich organach trawienia. Tak, że doskonale się czuję i kto wie, czy nie wyleczyłem się z niezytu kiszki. Jak Wy dajecie sobie radę? Czy ciężar, jaki spadł na Ciebie, nie będzie ponad Twe siły. Zdrowie Wasze, Mamy, Jurka, z czego żyjecie, bo pieniędzy prawie nie miałam? Gdzie mieszkanie? Co z meblami? Marychnę i Jurka proszę o zgodną pomoc Tobie, jak i jedno drugiemu. Myślę, że dla Was najgorsze już przeszło. Wierzę głęboko, że życie mimo bombardowań. Czy tylko zdrowie? Czy szkoły będą uruchomione? Napiszcie koniecznie, tylko zaraz.

Caluję Cię moje zlotko całym sercem i duszą. Marychnę i Jurka z całym sił i ducha. Mamie rączki caluję, polecając Was Opatrzności. Pozostając zawsze kochający Was i Helę: Zawsze Twój i tylko Twój Mietek”.

Ta drobno zapisana kartka była jedynym przekazem pisemnym o generale Smorawińskim. 13 kwietnia 1943 roku prasa niemiecka doniosła o odkryciu masowych grobów oficerów polskich w Katyniu. Mieczysław Smorawiński został zidentyfikowany jako jeden z pierwszych na podstawie dokumentów i srebrnej papierośnicy z dedykacją. Zdjęcia tych przedmiotów publikowano potem w polskojęzycznej prasie okupacyjnej.

Jerzy Smorawiński, syn dowódcy lubelskiego Okręgu Kongosu, był jednym z pierwszych Polaków, którzy dowiedzieli się o zbrodni katyńskiej. Oddajmy mu głos, tym razem na dłuższą:

„W 1943 roku mieszkaliśmy przy ulicy Peowiaków [obecnie Pstrowskiego — L. W.]. 12 kwietnia odwiedził mnie kolega z inlasy. Siedziałem akurat nad szachami, rozwiązywałem zadanie z kącika szachowego w „Nowym Głosie Lubelskim”. Powiedział, że zna człowieka, który ma jakieś wiadomości o Ojcu. Nalegał, żeby pójść z nim. Poszliśmy na skos przez plac Litewski, 3 Maja, w kierunku Spokojnej [obecnie 22 Lipca — L. W.]. Po drodze miał miejsce taki mniej więcej dialog:

- Kto to jest ten człowiek?
- Pracuje ze mną.
- Skąd ma tę wiadomość? Co wie?
- Z Berlina, z radia. Nie wiem dokładnie. Dowiedz się na miejscu.
- Skąd mnie zna?
- Z gazety. Przeczytał twoje nazwisko w kąciku szachowym.
- A skąd ma dostęp do radia?
- Bo to jest Niemiec. Nazywa się Frommel...

To mnie zaniepokoiło. I zawahałem się, ale myślałem jeszcze może, że to jakiś treuhander. Istotnie, rozwiązałem kilka zadań szachowych i w „Nowym Głosie Lubelskim” wydrukowano moje nazwisko. Tak rozmawiając przyszedliśmy na miejsce. Ulica Spokojna. Jakiś budynek i niemiecki wartownik. Marian mówi: to tu. Spozstrzegłszy wartownika, chciałem uciec, ale zdecydowałem się, mimo wszystko wejść. Chodziło przecież o Ojca. Ten Niemiec pyta mnie o rodzinę, Matkę, Ojca, a ja nie wiem, o co chodzi. W końcu ten Szwab mówi mi, że nadszła tragiczna wiadomość o odkryciu rowów koło Smoleńska, w których były zwłoki oficerów polskich i że tam znaleziono zwłoki Ojca. Pytał mnie, gdzie Ojciec służył, co robił we wrześniu 1939. Ale ja nie mu nie od-

powiedziałem, udalem, że nie wiem. W końcu kazał przyjść po południu z Matką, na 16.30. Czulem się podstępem wprowadzony w niemieckie machinacje przez kolegę ze szkolnej ławy.

Poszedłem od razu do Matki, do Syndykatu Rolniczego, gdzie pracowała, i wszystko opowiedziałem. Miała do mnie wielkie pretensje. „Po coś tam synu poszedł?” — pytała z wyrzutem. Po powrocie do domu zastanawialiśmy się, co robić. Matka w ogóle nie chciała tam iść. Miała wątpliwości. Poszła się poradzić do sąsiadów. Tak się złożyło, że pod nami mieszkała pani doktor Olecka. Bywał u niej pan Gralewski, jak się okazało po wojnie, szef lubelskiego BiP-u. On właśnie namówił matkę, żeby jednak poszła i spróbowała się czegoś dowiedzieć. „Nie iść tam pani nie może — powiedział — a uciekać nie ma powodu. Jesteśmy ciekawi, co oni mają pani do powiedzenia”. Poszliśmy.

Zaprowadzono nas do jakiegoś gabinetu. Były czyjeś imienniny czy też urodziny. Jakaś Niemka z kasetkami. Wymówiliśmy się. Przyjął nas sam szef „Abteilungpropagande — Schöller. Rozmawiał z nami, zresztą fatalną polszczyzną, jego pomagier Ludwig. Powiedział, że chce przeprowadzić wywiad w związku z odkryciem grobów katyńskich. Dał Mamie, mnie i siostrze przygotowane kartki z „wystąpieniem”. Włącono mikrofony i Ludwig zaczął, kalecząc polski, opowiadać o sowieckiej zbrodni, zamordowanych oficerach. Typowa, nachalna propaganda hitlerowska... Potem przedstawił Matkę, siostrę i mnie. I oddał Mamie głos. Miała powiedzieć, że jako żona generała Smorawińskiego będzie się modliła, by ten ohydny czyn, dokonany na jej mężu przez bolszewików, został pomśczony. Ja miałem powiedzieć, że nie cofnę się przed niczym i zrobię, co będę mógł, by pomścić ten okrutny czyn na bolszewikach.

Wszystko szło, jak się Niemcom zdawało, po ich myśli. Do momentu, kiedy Ludwig podsunął Matce mikrofon z zapytaniem o nazwisko. Mama milczała. Wyłączyli te mikrofony. „O co chodzi? — zdenerwował się Ludwig. — Czy pani czegoś nie rozumiała?!” „Ja nie mogę... Nie mogę tego powiedzieć” — odpowiedziała cicho Mama. Tak powtarzało się to kilkakrotnie i kończyło milczeniem. „Musisz pani, musi!” — wrzeszczał Schöller i straszyl Oświęcieniem. W końcu, po kilku godzinach, Mama wykrztusiła z siebie: „Będę się modliła...” „No, to już wstarczy” — zgodził się niechętnie Schöller. Wyszliśmy o zmroku...

Nazajutrz prasa polskojęzyczna ogłosiła komunikat na temat zbrodni, wymieniając nazwisko Ojca w nagłówkach. Nie uwierzyliśmy w tę wiadomość. Matka zdecydowanie opierała się niemieckim informacjom, traktując je jako jeszcze jeden z chwytów goebbelsowskiej propagandy. Mówiła nam, że w czasie wojny bolszewickiej miała dwie wiadomości o śmierci Ojca, wieści te się nie sprawdziły. Nie traciła nadziei nawet jeszcze po wojnie”.

MIJAŁY lata... Nadzieja walczyła o lepsze z rozsądkiem. Okrutna prawda powoli, dzień po dniu, rok po roku nasączała się w serce nieublaganą pewnością. Helena Smorawińska wielokrotnie brała do ręki niemiecką gazetę z fotografią papierośnicy i legitymacji Wirtuti Militari. Któregoś zwykłego dnia musiało to zapaść w świadomość. Ta prawda, że już nie wróci. Że do końca podzielił los swoich podkomendnych.

Taki napis umieszczono na płycie ściwej czoł generała w lubelskim kościele Wizytek. To jedyna tablica poświęcona pamięci tego Polaka, dzielnego żołnierza i honorowego oficera. Niewiele ofiarował mu Lublin, tak szczodry w szafowaniu niezasłużonymi laurami. Dziś, blisko pięćdziesiąt lat po tragedii katyńskiej, jest chyba czas zadośćuczynienia. Zresztą zawsze jest na to czas.

Postscriptum: Niniejszy artykuł jest pierwszą, udokumentowaną, w oparciu o istniejącą literaturę i relacje, próbą przedstawienia biografii gen. bryg. Mieczysława Smorawińskiego. Zdaje sobie sprawę z tego, że jest to sylwetka dalece niepełna, a tekst zapewne obciążony błędami bądź nieścisłościami. Wdźcącymy być czytelnikom za nadsyłanie krytycznych uwag i uzupełnień. Jednocześnie chciałbym wyrazić serdeczne podziękowanie p. Jerzemu Smorawińskiemu za cierpliwość i pomoc w pracy nad tekstem, a także wszystkim, którzy poświęcili swój czas po to, by sylwetka generała Smorawińskiego nie odeszła w zapomnienie.

Leszek Wiśniewski

ŻADNE Z NAS NIE WRÓCIŁOBY DO MIASTA

Z DALA OD LUDZI

Zbigniew Dzieciołek

OSADA Leśna — Huta Nowa jest jakby odprysnięta od reszty osiedli ludzkich. Nie dojeżdża tu autobus, nie ma sklepów, kościoła i czerwonej tabliczki z napisem „sołtys”. Jeszcze na początku lat siedemdziesiątych, zanim położono asfaltową „wąskotorówkę”, miejscowi ludzie pieszo chodzili do odległego o 20 km Biłgoraja.

Całą osadę tworzy kilka domów, które można policzyć na palcach jednej ręki. Niektóre z nich pamiętają czasy świetności ordynacji Zamoyskich. Stara, drewniana leśniczówka wraz z zabudowaniami trzymna się krzepko. Na wierzchołkach stodoły widać małe, dobrane zachowane tabliczka z białym orłem w koronie. I napis: „1803—1921 Polska Dyrekcja Ubezpieczeń Społecznych. Ubezpieczono”. To już przeszłość. Ale i dziś, jak dawniej u Zamoyskich, w osadzie mieszkają tylko leśnicy i drwale z rodzinami.

Kiedy w 1970 roku Waldemar Sprysak rozpoczął naukę w Technikum Leśnym, myślał, że będzie to wielka przygoda z lasem. Jak w powieściach, które czyta się w szkole podstawowej. Naokoło grube drzewa, wśród których tylko przesieki, wyrabane między ścianami wysokopięnych świerków, świadczą o bytności człowieka. I ciągnął walka z żywiołem, trwająca od dziesięcioleci...

A rzeczywistość?

1300 hektarów lasu — przeważnie sosnowego, — z czego część to tereny bagienne, dostępne tylko w zimie, kiedy słupek rzeźy w termometrze przekracza minus 20 st. C. Czterech drwali, dwóch gajowych i orka od rana do wieczora. Bez wolnych sobót i niedziel. Las nie poczeka, a i dla kłusownika czy złodzieja drzewa niedziela to „normalny dzień pracy”.

— Ludzi mało — mówi leśniczy, gdy wyruszamy na objazd leśnictwa „Huta” — a roboty tyle, że czasami nie wiadomo, w co ręce włożyć. Najgorzej jest na wiosnę przy zalesianiu. Trzeba wtedy wynajmować mieszkańców z okolicznych wsi, którzy nie rwą się do tej roboty. I trudno się im dziwić. Za godzinę pracy przy sadzeniu drzewek mogą zapłacić 180 zł. Łatwo policzyć, że za osiem godzin wyjdzie 1440. Jak baba na jagodach zarobi 6 tys., to ona ma gdzie zalesianie. Chodzę wtedy od chałupy do chałupy i proszę, żeby chociaż na dzień, dwa, ktoś przyszedł. Krakowskim targiem zawsze kogoś zwerbuję. Kilka asygnat na drewno opalać czy żerdzie na płoty potrafi zdziałać „cuda”.

Leśniczy Sprysak w swym gospodarstwie ma około 2000 hektarów lasu, który osiągnął już wiek rębności. 600 ha to drzewa od 60 do 80 lat. Resztę stanowi młodnik, przeważnie sosnowy. Jest go dużo i rośnie powoli. Trzeba przy nim chodzić i doglądać. Najpierw, czy sadzonki się przyjęły i czy zwierzyna nie narobiła zbyt wielkich szkód. Później, kiedy podrośnie, chronić przed kornikami, spośród których cetyniec dotkliwie daje się we znaki sośnie.

W zimie też nie brakuje roboty. Pięćdziesiąt procent planu wyrebu drzew przypada właśnie na ten okres. Czasami leśniczemu opadają ręce. Części do pil mechanicznych brakuje, ze sprzętem specjalistycznym do zrywki w lesie też nie jest najlepiej. Łata więc, jak może. Tu coś wyprosi, tam naprawi, bo — jak mówi — nikt go z zepsutych pil nie rozlicza, tylko z ilości pozyskanego drewna.

Z drwalami również bywają kłopoty. Starzy, co z dziada pradziada drwalo-

wali, już się wykruszają, a młodzi to w większości chłopi-robotnicy. Państwówka w lesie i dwa, trzy hektary do obróbenia koło domu. Pan Waldeemar czasami się złości, jak któryś do pracy nie przyjdzie, ale przecież jest bezradny. Zwolnić łatwo, a o nowego drwala trudno. Robota ciężka i nie każdy wytrzyma. Dzień po dniu z drgającą pilą w ręce robi swoje. Deszcz dokłada po kościach, a dojazdy do lasu rowerem z bańkami benzyny i sprzętem też nie należą do przyjemności. Zarobki w granicach 40—50 tys. zł dopełniają całości obrazu...

Dojeżdżamy do gajówki w Peku, oddalonej o 12 kilometrów od Osady Leśnej. Daleko. Mieszka tu wdowa po gajowym Mierzwie. Jej mąż jeszcze jako drwal pracował u Zamoyskiego. Gajówka jest mała. Pokój, kuchnia, niewielki strzysek i ganeczek podparty rzeźbionym filarem. Leśniczy ma tu mały pokój przerobiony z dawnej spiżarni.

— To coś w rodzaju punktu kontaktowego dla pracowników leśnictwa — wyjaśnia. — Do osady daleko, a w ciągu dnia różne sprawy trzeba załatwić. Gdybym miał na stałe służbowy samochód byłoby mi łatwiej pokonywać te odległości. Motor długo po takich wentepach nie wytrzyma, a i zdrowia szkoda...

Jedziemy dalej.

— A z tymi pieniędzmi z lasu to różnie bywa — powraca do przerwanej rozmowy leśniczy Sprysak. — Wszystko zależy od człowieka.

Ludzie bywają różni. Rzucą przez zęby przekleństwo, nazloszczą się, że, panie tego, ostatni raz dziś do roboty przyszedł, że noga ich tu więcej nie pójdzie. Ale ołość szybko minie, koszuła po deszczu wyschnie i wróć. Jak państwowego grosza nie wystarczy, to z przyzagrodowej działki wycisną. Krowa i para wieprzków w oborze zawsze podreperują domowy budżet.

— Gdyby tak wszyscy myśleli — wzdycha leśniczy. — Ale ludzie patrzą i liczą. Państwowy reumatyzm i puste kieszenie przyszłości im nie zapewnią. No to wielu woli kombinować, wychodząc z założenia, że prawo przy odrobinie szczęścia można oszukać.

Sródleśne wioski, oddalone od najbliższych miast 20—30 kilometrów, rządzą się swoimi prawami, które nie zawsze są zgodne z odpowiednimi ustawami i paragrafami. Znaczna część lasów jest własnością okolicznych chłopów. A chłop to chłop. Swojego mu szkoda, a państwowy las blisko. Jak dostanie pozwolenie na wycięcie drzewa na swoim, to już nie przepuści, żeby przy okazji, „po sąsiedzku” o państwową sosnę czy świerk nie zahaczyć. Podkładka na papierze jest, a okorowanego i pociętego w deski drzewa sam leśniczy nie rozpozna.

Las jest duży, a ludzi do pilnowania mało. Ci, co kradną, doskonale wiedzą, gdzie przebywa leśniczy i co robi w tym czasie gajowy. Mieszkają tu od pokoleń. Znają każdy kąt i każdą ścieżkę w lesie. Przed wojną kradli u Zamoyskiego, to dzisiaj i państwowe nie stanowią dla nich przeszkody. Ryzyko się oplaci. Za deszczulkę o długości jednego metra nabywca daje 160 zł. Jeżeli w ciągu dnia chłop natnie ich tylko tysiąc, wyjdzie na swoje. Nie trudno obliczyć, że jego „dniówka” będzie się „nieco” różniła od miesięcznej pensji drwala.

Dokończenie na str. 14

NA początku było zwykle gospodarstwo rolne; dom mieszkalny, obora. Do Woli Sławińskiej od lat przyjeżdżali leśnicy. Blisko stąd do miasta, a powietrze przypominało mikroklimat Nałęczowa. W 1981 roku ktoś postawił na środku podwórza Jana Musika szopę. Sąsiedzi żartowali, że na posesji pojawił się kowal. Syczące dymy zaczęły unosić się przez byle jakie poszycie dachu; zaobserwowano, że w środku palił się ogień. W jakiś czas potem także w piwnicy i suterenu domu zaczął wznagać się ruch. Dziś już wiadomo, że wówczas w szopie przetapiano aluminium, a w domu szlifowano i polerowano odlewy — okucia okienne. Póki co, rolnicy pochylali się jednak dalej nad ziemią. Pola i trawniki zieleniły się jak niegdyś. Tymczasem spaliła się szopa (pozwolenie na jej budowę wydała straż pożarna) i wszystko mogło się na tym zakończyć. Nikt nawet nie przypuszczał, że był to dopiero początek.

jęwódzkiego zakład jest nieczynny. Został zamknięty decyzją naczelnika gminy z lipca 88 (naczelnik wydał istotnie decyzję lecz jedynie o zaprzestaniu w zakładzie odlewnictwa). Tymczasem coraz gęstsze dymy zbierały się nad okolicą a produkcja szła już teraz na trzy zmiany.

Pan Kazimierz Grzegorzczak zamieszkały o 70 metrów od zakładu:

— Od początku było jasne że administracja państwowa dąży za wszelką cenę do zalegalizowania działalności fabryczki. Swoją docieklivością zaatakowali nas urzędy i wpływowego człowieka. W naszym kraju to nadal akt nierozwagi. Wciąż jeszcze obowiązują przecież u nas lekceważenie podstawowych spraw człowieka. Cała biurokracyjna machina działa jak słoń; jeden ogląda się na drugiego a ekspertyza goni ekspertyzę. Tymczasem my domagamy się wyjaśnienia przyczyn chorób wielu osób dorosłych i dzieci. Od tej sprawy posiwiali mi włosy.

Srodowiska UW w Lublinie, Henryk Janczewski i Tomasz Kowalski, przebywali na urlopie. Zastępował ich magister Cezary Radziejewicz, który stwierdził: — Ten konflikt to zderzenie niecierpliwości ludzkiej z naturą, nie zawsze baczna na przepisy prawa, indywidualną przedsiębiorczość oraz z gąszczem administracyjnych zaleceń. Przede wszystkim te trzy czynniki doprowadziły do rozdmuchania tego sporu. Z naszej strony działania miały charakter rutynowy i zgodny z procedurą. Nie naszą winą jest rozdźwięk między priorytetem dla ochrony środowiska a ustawą o wspieraniu przedsiębiorczości. W przypadku zatargu w Woli Sławińskiej jesteśmy bezstronni. Na dziś musimy jednak potwierdzić fakt, iż z naszego punktu widzenia nie notujemy w tej okolicy przekroczenia norm emisji szkodliwych związków. Także stanowisko nie zadowala jednak mieszkańców Woli, odwołali się więc ponownie do ministerstwa. Oczekując na decyzję centrali, nie rezygnujemy jednak z doko-

ników takich na piśmie zainteresowani jednak nie otrzymali. Tymczasem leży przede mną wynik badania radiologicznego pięcioletniego mieszkańca Woli Sławińskiej: „W dolnych polach obu płuc wzmożenie panbronchoidalnego rysunku z ogniskami zapalnymi w prawym i lewej przegónowo-secowym”. Być może nie ma to związku z fabryką klamek, a jeśli tak?...

Nic zatem dziwnego, że lawina odwołań i skarg toczy się dalej, ludzie mają bowiem tę właściwość, że obawiają się o swoje zdrowie. Skargi powędrowały do KC PZPR, redakcji wielu pism („Odrodzenie” wydrukiowało reportaż), prokuratury wojewódzkiej a potem generalnej, wreszcie do kandydatów na posłów i senatorów. Dziś tej wirówki nonsensu nikt nie jest już w stanie zatrzymać. Wielokierunkowe interwencje zaczynają jednak stopniowo owocować konkretnymi działaniami. Oczekuje się, że do producenta klamek ma swoje zastrzeżenia Urząd Skarbowy, coraz energiczniej wkrocza do ak-

NIEBEZPIECZNA WIROWKA NONSENSU

Wiesław Horabik

Zakład-widmo, usadowiony na terenie przeznaczonym pierwotnie pod intensywną produkcję ogrodniczą, szybko się rozrastał. Gruby, miękki pył zaczął zalegać podwórzu, dymy nabierały gryzącej ostrości, okoliczni mieszkańcy zaczęli odczuwać bóle głowy, potem pojawił się chroniczny kaszel. Ludzie twierdzą, że zdarzały się przypadki utraty przytomności i wymioty. To był już rok 1984. Z działaniem truciciela kojarzą dziś mieszkańcy Woli śmierć dwójki ludzi: właściciela posesji Jana Musika w 1984 roku (53 lata) i sąsiadki Janiny Rogalskiej (46 lat) w 1987. Przy obecnym zacieńczeniu z obu stron zakładowi można przypisać już wszystko.

BIUROKRACI W AKCJI

W czerwcu 1988 roku, gdy rzecz stała się alarmująca, mieszkańcy wsi zawiadomili Terenową Stację „Sanepid”, Wydział Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego, naczelnika gminy (wówczas rezydującego jeszcze w Konopnicy). Nie wiedzieli, że poruszyli lodową górę.

17 czerwca 1988 roku ekipa „Sanepidu” pobrała próbki roślin z dwóch działek oddalonych o 70—80 metrów od zakładu, który nadal nie posiadał szyldu ani specyfikacji produkcji. W istocie nie posiadał żadnego z koniecznych do funkcjonowania dokumentów. Stan ten do dziś uległ w niewielkim stopniu zmianie.

27 sierpnia delegacja mieszkańców udała się do Wojewódzkiej Stacji „Sanepid” z prośbą o udostępnienie wyników, których nadejście niebezpiecznie się opóźniało. Wyniki otrzymali, lecz go ich interpretację zostali skierowani do Państwowego Zakładu Higieny do Warszawy. Tam dowiedzieli się, że interpretacja nie jest możliwa, gdyż pobrano zbyt małą ilość prób. Jedyne, co przyznano, to przekroczenie normy zawartości glinu (norma ta wynosi 30 miligramów na kilogram).

Zbliżał się sezon zbioru warzyw, porzeczka i malin. W listopadzie mieszkańcy znaleźli się w posiadaniu kopii wyników badań wykonanych na tych samych próbkach w Rzeszowie. Okazało się, że lubelski „Sanepid” wydał mieszkańcom wyniki z zaniżoną stopą zagrożenia. Zaniepokojeni ludzie udali się do Wojewódzkiego Inspektora Sanitarnego dołączając do prośby o zamknięcie zakładu — ekspertyza rzeszowska. Do dalej nie otrzymał odpowiedzi.

Owa niecierpliwość i radykalizm łączył z jednej strony i opieszałość działań z drugiej położyła się zresztą głębokim cieniem na całej tej sprawie.

Na odwołanie skierowane do Głównego Inspektora Sanitarnego Kraju nadeszła odpowiedź, iż zgodnie z informacją uzyskaną od inspektora wo-

W czerwcu 88, jeszcze przed „Sanepidem”, próbki na parceli pobrała wyślaniczka Wydziału Ochrony Środowiska UW, pani Maria Zezula. Właściciel, widząc wzmożony ruch wokół siebie, wstrzymał produkcję na dwa dni. Wszystko wokół starannie umiaciono, a na prowizoryczną rurę wylotu pyłu nałożono zwykły parciany worek.

W parę dni potem pojawiła się kolejna ekipa, tym razem z Ośrodka Badań i Kontroli Środowiska, a wyniki jej pomiarów wykazały przekroczenie obowiązujących norm. Na tej podstawie dyrektor Wydziału Ochrony Środowiska UW Henryk Janczewski zobowiązał właściciela zakładu do wykonania operatu ochrony atmosfery oraz zamontowania urządzeń odpylających w terminie do 30 września. Do 17 listopada właściciel nie wywiązał się z tych zobowiązań. Mieszkańcy podjęli kolejną interwencję, zainteresowali także sprawą Oddział Wojewódzki PRON.

Koronnymi zarzutami protestujących ludzi wobec kontroli UW jest przeprowadzenie badań w warunkach anormalnych w stosunku do aktualnej skali produkcji (zmniejszone moce, minimalny stan załogi). Pani Maria Zezula twierdzi jednak, że pobieranie próbek odbywało się w zgodzie z przepisami, a opinienia proceduralne wynikały z konieczności skrupulatnej rejestracji emisji. Powietrze nad Wolą Sławińską zanieczyszcza przecież nie tylko zakład pana Bronisza.

Dyrektor Janczewski wysyłał na miejsce kolejne ekipy. Wyniki pomiarów zaczęły mieścić się w normie, choć nadal ich klasyfikacja pozostawała niejednoznaczna (brak operatu). Za niewywiązanie się z poprzednich zaleceń ukarano właściciela mandatem w wysokości trzech tysięcy złotych. Tymczasem zupełnie nieoczekiwanie, 24 listopada zastępca dyrektora Wydziału Ochrony Środowiska, Tomasz Kowalski, zmienił decyzję swego szefa, prolongując termin zainstalowania urządzeń ochronnych do 10 grudnia 88. Akt ten znacznie przyczynił się do rozhuśtania nastrojów wśród mieszkańców wsi. Nowy termin nie został zresztą także dotrzymany, a na dzień przed jego upływem właściciel odwołał się do Ministerstwa Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych. Warszawa uznała decyzję dyrektora Kowalskiego za bezasadną i nakazała egzekucję wcześniejszych postanowień. Powstało jednak wrażenie manipulacji i interesowności.

Wydział Ochrony Środowiska UW w Lublinie powiadomił 18 lutego 1989 roku ministerstwo, iż w zakładzie zamontowano stosowne urządzenia. Odtąd drogi interpretacji faktów przez mieszkańców Woli Sławińskiej i przedstawicieli administracji państwowej na dobre się rozchodzą. Dla tych drugich sprawa została zamknięta, niecierpliwość tych pierwszych wzrosła. Zaognił się konflikt tak częsty w naszym życiu społecznym.

Kiedy przygotowywałem ten tekst, obaj dyrektorzy Wydziału Ochrony

niowania pomiarów kontrolnych na tym samym terenie. Uważam, że nasze stanowisko całkowicie mieści się w dekalogu uczciwego postępowania.

Pani magister Zezula jest przy tym podejrzana, spekulacji, nieuczności. W okolicy tymczasem zaczęto mówić o szkodowaniu w Woli Sławińskiej odpadów radioaktywnych spowodowanych z RFN. Władziano ponoć zagraniczne ciężarówce kręcące się wokół posesji, śledzono częste wojaże europejskie właściciela. Rodził się nowy mit. W pewnej chwili ludzie ogarnęli desperację. Wzywają na pomoc OPZZ, „Solidarność”, PRON. W kilka dni potem o lubelskim konflikcie informuje Radio „Wolna Europa”, wrzucając kolejny kamyk do ogródka nieudolności władzy. Zmieniające się ustawicznie przepisy pogłębiają frustrację.

DESPERACJA

Nie wszystkie argumenty Wydziału Ochrony Środowiska przemawiają mi do przekonania. Władze administracyjne stworzyły aż nadto powodów do podejrzeń, spekulacji, nieuczności. W okolicy tymczasem zaczęto mówić o szkodowaniu w Woli Sławińskiej odpadów radioaktywnych spowodowanych z RFN. Władziano ponoć zagraniczne ciężarówce kręcące się wokół posesji, śledzono częste wojaże europejskie właściciela. Rodził się nowy mit. W pewnej chwili ludzie ogarnęli desperację. Wzywają na pomoc OPZZ, „Solidarność”, PRON. W kilka dni potem o lubelskim konflikcie informuje Radio „Wolna Europa”, wrzucając kolejny kamyk do ogródka nieudolności władzy. Zmieniające się ustawicznie przepisy pogłębiają frustrację.

Kiedy 6 lipca 1988 roku naczelnik gminy Konopnica, Hieronim Golowit, zakazał odlewnictwa w zakładzie pana Bronisza „z uwagi na konieczność ochrony zdrowia i życia ludzkiego”, właściciel odwołał się do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Wydaje się, że instytucja ta potwierdziła niejednokrotnie zastrzeżenia opinii publicznej co do zasad swego funkcjonowania. Najlepiej zwlekała z rozpatrzeniem sprawy, by następnie anulować decyzję naczelnika z uwagi na fakt, iż to nie on osobiście (o awięcia sprawiedliwości!) a sekretarz gminy podpisał wspomniany dokument. Gdy mieszkańcy wrócili się do naczelnika o ponowną decyzję, opatrzoną tym razem jego własnoręcznym podpisem, zmieniły się przepisy, a potem zmienili się i gmina. Właściciel mógł już prowadzić odlewnictwo ku uciesze swego serca.

W dniach 1—3 marca br. mieszkańcy Woli Sławińskiej przystąpili pod drzwiami gabinetu wojewody do strajku kupaecyjnego. Pojawiła się prasa, sprawa nabierała dodatkowego smaczków.

— Wówczas „Kurier Lubelski” wydrukował na nas paszkwil — mówią mieszkańcy Woli. — Przedstawiono nasze żądania jako nieuzasadnione wybrzyknęły grupki sfrustrowanych dzwanków. Tyłko, że dzieci dziewczynki ścisły się i cieszą nadal dobrym zdrowiem.

Wicewojwoda Władysław Saba zwołał posiedzenie z udziałem dyrektorów zainteresowanych wydziałów i lekarza wojewódzkiego. Ten ostatni przedstawił dokument podpisany przez lekarza przychodni rajcnowej, do której zostali skierowani na badania mieszkańcy woli, iż schorzenia u nich występujące nie mają związku z działalnością technicznego zakładu. Wy-

cji prezydent miasta Lublina i w ogóle Urząd Miejski. Niefortunną parcelę „wizytował” Włodzimierz Lubanski z krajowych władz OPZZ. Stwierdził on m. in. „urągający stan sanitarny o mieszczeń socjalnych — brud, nieporządek, bałagan”. W rozmowie z właścicielem i mieszkańcami zakwestionował także skuteczność zamontowanego urządzenia odpylającego. Swoje własne rozpoznanie prowadzi Komitet Obywatelski „Solidarność” i postanka na Sejm PRL, pani Teresa Luszcz.

TAKI PEJZAŻ...

Patrząc na pomalowane na sivo ściany i komin fabryczki. Jest ciche, ciepłe, czułe, wyczuwalne. Wokół rozciągają się rabaty antyzemnych kwiatów, ale powietrze przesycone jest zdrowym zapachem dojrzewającego lata. Dźwięczą mi jaszczki w uszach niedawne słowa, jak to wielu dziennikarzy przede mną deklarowało zainteresowanie problemem, by w rezultacie wycofać swoją ofertę. Pamiętam, że ludzie łączą sobie energiczne przedsięwzięcia z najwyższymi czynnikami władzy. Wciąż powracają słowa o bezradności człowieka wobec muru „układów”, zaleźności, powiązań. „Prosty człowiek czuje się pyłkiem w konfektacji z urzędniczą mafią, czwartą i solidarną w ciągu roku w półnych, podejrzanych profitów” — oto dosłowny komentarz. Zakład stoi nieruchomy, cichy, jakby opuszczony. Młd rozmówcy spoglądają jednak w tamtym kierunku z nieukrywaną niechęcią.

— Rano znowu zaroi się podwórte robotnikami, a niebo zasnuje bury dym — mówią. — Czy pewnego dnia ustanie ta wirówka nonsensu w kraju, którego rząd głośno i wyraźnie zaczął akcentować potrzebę ochrony ziemi, powietrza i co najważniejsze — nas, zwykłych ludzi? Czy długo jeszcze przedsiębiorczość oznaczać będzie brutalne bogacenie się z podeptaniem prawa i oklepanie głoszonych prawd?

W kilka dni potem mieszkańcy Woli Sławińskiej dostarczyli mi swojej deklaracji: „Chcemy wiedzieć, jaka była rzeczywista emisja zanieczyszczeń z zakładu i jakich w związku z tą emisją możemy oczekiwać konsultacji zdrowotnych w przyszłości. Domagamy się podania nam do wiadomości rzeczywistych, obiektywnych wyników analizy uciążliwości zakładu ze względów choćby czysto humanitarnych. Informacja taka byłaby wręcz nieoceniona i niezbędna do leczenia ludzi bądź też ewentualnego ratowania ich życia, gdyby sytuacja tego wymagała w przyszłości”.

Czy to dużo, czy mało?

W Urzędzie Wojewódzkim usłyszałem i takie stwierdzenie:

— Od czasu, gdy wybuchł ten konflikt, pan Grzegorzczak bardzo się postarał. To widać gołym okiem. Później przyszedł przy sprawie tych ukrzywdzonych ludzi.

DOM

Dokończenie ze str. 1

tem repatriowany do Polski, do Szczecina. Natomiast Franciszek gospodarzył na 30 ha ojcowizny w Fabianiszkach, doczekawszy się czterech córek i syna Tomasza.

Tomasz, późniejszy ojciec Romka i Władka, bardzo wcześnie został dotkliwie doświadczony przez los. W 1935 roku spaliła się ojцова stodola, a ojciec pozostał już na całe życie obłożnie chorym kaleką. 15-letni Tomasz musiał przejąć funkcję gospodarza, zadbać o wyżywienie ojca-inwalidy, matki i siostr. Radził sobie chyba nieźle, skoro jako wyrostek został wybrany do wioskowej rady. Później sam o sobie mówił: „Jestem człowiekiem do rozplątywania spraw beznadziejnych”. A wieś mówiła o Mieczkowskim — „panok”, bo za pana, czyli zubożalonego pana, go miała. Wiejska społeczność długo pamiętała Mieczkowskim ich wielkomięskie pochodzenie, ale szanowała i od dawna uznawała za swoich.

— Matka też pochodziła z bardzo patriotycznej i odważnej polskiej rodziny. W czasie okupacji ukrywali w piwnicy trzy rodziny żydowskie; mama stała już pod ścianą, cudem uniknęła śmierci. Kilku mężczyzn z tej rodziny brało udział w kampanii wrześniowej. Starszy brat mamy, Bolesław, odsłużył wojsko w 1939 roku, ale nie zdążył wrócić do domu, bo wybuchła wojna i skierowano go na front. Pułk miał wymaszerować na Węgry, ale Bolesław został ranny i trafił do szpitala, a później do niewoli niemieckiej. Przetrzymał znęcanie się i w grudniu 1939 roku stanął na zbiorce. Jency pochodzący z Wilna i terenów zagarniętych przez ZSRR zostali przez Niemców przekazani ich przyjaciółom — Rosjanom. W Wilnie — kolejna selekcja. Bolesław trafił do transportu na Sybir, w drodze udało mu się uciec razem z kolegą. Do domu brakowało mu tylko dwa kilometry, kiedy został zatrzymany przez patrol NKWD. Lipiec 1944, więzienie w Łukiszkach, potem łagier Saratow, jeszcze później — Kutaisi. W sumie cztery lata przerwy w życiu, za niewinność... Dwie próby ucieczki, druga udana, Wilno, amnestia... Pasma przeciwności losu nie kończy się. Bolesław musi pochować dwóch synów, potem przeżyć pożar domu, pogrzeb 5-letniej wnuczki, 26-letniej synowej i wreszcie — żony. Te wszystkie pogrzeby wstrząsały nim z upiorną regularnością: co 4—5 miesięcy. Po ostatnim pogrzebie mama miała dziwny sen: omentarz, wchodzi Bolesław, wszystkie groby zajęte, jeden pusty. „Boles, dla kogo ten pusty?” „A dla ciebie, dla ciebie...” No i w osiem miesięcy później stało się...

— Po wojnie było tutaj jak w kotłach: Rosjanie, Litwini, Niemcy, każdy chciał Polaka za mordę złapać, tak w kółko... Mielimy szansę wyjazdu do Polski, wiele szans. Ale nigdy nie stawialiśmy sobie za cel pogoni za lepszym bytem.

Zawsze mieliśmy świadomość, że Mieczkowsy od miecza, nie od mieszkaka. Świętością dla nas był zawsze Adam Mickiewicz. I jest nadal, chociaż podśmiewają się niektórzy, że ta poezja już za stara, staroświecka. A dla nas Mickiewicz to coś więcej niż poezja... Szacunek dla polskości uczył nie tylko rodzice. Świętością dla Romka i mnie jest nasza polonistka, pani Helena Zacharkiewicz.

WLADEK

— Ojciec nawet złożył już podanie o repatriację, ale dziadek-inwalida za-protestował: „Synu, do Niemiec umierać ty mnie nie wywoż!” A potem trzeba było być stróżem grobów rodzinnych. Dziadek zmarł w 1951 roku, kiedy Romek miał rok.

— Dlaczego zostałem lekarzem? W roku 1950, kiedy mama, 20-letnia wówczas, przywiozła ze szpitala Romka, swego pierwotnego, na nasz dom w Fabianiszkach napadła banda. Matka i ojciec bronili się siekierami! Za dwa lata banda pobila ojca, trzeba było go pielęgnować. Mama nauczyła się, z konieczności, robić zastrzyki, poznała ogólne symptomy podstawowych chorób, no i pomagała ludziom. Z połowy rejonu wileńskiego przyjeżdżali do niej ludzie jak do felczera... Ja urodziłem się w roku 1954, pięć lat później przyszła na świat Henryka. Matka nigdy nie odmówiła pomocy, choćby trzeba było cztery razy dziennie penicylinę wstrzyknąć, piechotą brnąć wiele kilometrów, gdy konia gospodarz nie miał. A przecież miała swoje obowiązki. Dzieci mówiły jej „dzień dobry”, ale z respektem omijały ją z daleka, aby dalej od kłującej igły. Pomyślałem sobie: „Zostanę lekarzem, pomogę matce, będzie jej lżej”. No i pojechałem do Leningradu na studia medyczne. Trochę w tej decyzji było romantyki, mniejsza o to... Pediatryczną Akademię Medyczną ukończyłem i od 1978 roku byłem chirurgiem dziecięcym w Królewcu, potem w Wilnie. W roku 1983 udało mi się przenieść do Centrum Mikrochirurgii. Akurat potrzebni byli entuzjaści, którzy nie liczyli się z czasem i pieniędzmi. We wrześniu 1984 roku zmarła matka. Miała zaledwie 54 lata. Być dla śmiertelnie chorej kobiety i synem, i lekarzem jednocześnie, świadomym, że to nowotwór złośliwy — nie życzę nikomu. „Jedynie, o co was proszę, to życie w zgodzie” — prosiła na łożu śmierci. Na pogrzeb przyszło około 300 osób. Znałem tylko może około stu. Reszta to ci, którym w życiu pomogła. Pochowana została w rodzinnym grobowcu w Kalwarii.

— Dom... Ostatnią osobą, która się z domu wyprowadziła, był oczywiście ojciec. W lipcu 1987 roku przeniósł się do własnej kawalerki w nowym budynku. Dom rozbrano, ale ojciec do końca pilnował, by nawet jednego gwoźdźca z naszej sadyby nie

skradziono. Mikrochirurgia stawiała się moim żywiołem. Pod koniec maja 1988 roku pojechałem na sympozjum do Wrocławia, solidnie przygotowany, z referatem, który — miałem nadzieję — wniesie coś nowego do międzynarodowych doświadczeń medycyny. Ledwie rozpakowałem neseser, otrzymałem wiadomość: „Wróć natychmiast, ojciec potrącony przez samochód, kiedy szedł rano do kościoła, nie żyje...” Cóż, tak los sprawił... Ojciec wszczepił nam miłość życia. Lubiał przyrodę, szanował ludzi. W Kalwarii, w kościele stał krzyż i obraz św. Franciszka z napisem: „Kochaj wszystko, co żyje”. Przeprowadzał nas tam i wiele razy odczytywał ten napis.

— Wileńskie ciepło rodzinne zahar-towało nas, stworzyło przeciwności na znieczulicę, na przeciwności losu. A las sprawił, że mieszkam przez sufit z Henryką. Za kilka miesięcy i Romek ma otrzymać większe mieszkanie, prawdopodobnie niedaleko nas. Utrzymujemy więzi rodzinne z trzema — a nawet czterema — pokoleniami Mieczkowskich, zupełnie jak włoska mafia. Jesteśmy rozproszeni, ale w razie kłopotu zaraz zbiegnie się ze sześćdziesiąt osób! Taka normalna wileńska rodzina jesteśmy, tysiące takich tu jest...

STÓŁ ROZLEGŁY I DOSTOJNY

Nawet ładnie tu. Całe osiedle Poszelajta buduje się techniką monolitową, poprzez lanie cementu z góry w gotowe formy. To zapewnia niezawodną trwałość tak odlanym domom. Można uważać w mieszkaniu Władka Mieczkowskiego przykuwa stół: masywny, dębowy, o okazałych rzeźbionych nogach. Nie pasuje do delikatnej nowoczesności współczesnego budownictwa, za solidny i za duży.

— To wszystko, co udało mi się uratować z rodzinnego domu. Ten stół. To właściwie nie stół, a święte domowe miejsce, ołtarz. Podobno stał w domu od połowy XIX wieku. Przy nim przez wiele lat odbywano wesela, chrzciny i pogrzeby. Na kolejne urodziny rozłożyłem go i stał się jeszcze bardziej rozległy. Tak rozległy, że swobodnie tańczyło na nim 11 osób! Pamiętam, że w dzieciństwie pod ten stół uciekaliśmy przed maminym passem. Był i czas zapomnienia, stół wypadł z łask, stał się cokolwiek przestarzały, zacofany, zbyt ciężki. Wyniesiono go do szopy w połowie lat sześćdziesiątych, a przedtem zamalowano na modny kolor... Ocaliłem go i szanuję jak rodzinną relikwię. Osobiście odnowiłem, pomogłem mu odzyskać prawdziwą twarz. Przychodzi raz Maciek i ja mu opowiadam dzieciństwo, z tym stołem związane. A on mi na to: „Stryjek, jak to jest w tych dużych blokach, bliski duże, a stoły małe. I nabrać po buzi można...” Maciek wie, co mówi. Pewnego razu wrócił z podwórka z czerwonym policzkiem. Co się stało? „A, bo mówiłem po rosyjsku i taki jeden kolega Litwin krzyknął: »Ty kacapie!« i mnie uderzył”. „No to mów po litewsku!” Na

drugim dzień Maciek wrócił też z policzkiem zaczerwienionym, tym razem z drugiej strony. Uderzył go kolega Rosjanin... „No to mów tylko po polsku!” — postanowiono w domu. Czy na trzeci dzień Maciek miał oba policzki czerwone jednocześnie? Tego nie sprawdzałem. Wiem natomiast, że pewnego razu Maciek zapytał ojca: „Tato, a co to jest ta Polska?” „A jak sądzisz?” — odpowiedział pytaniem na pytanie Romuald. „Sądzę, że to chyba coś bardzo dobrego, bo takie dobre rzeczy o niej słyszę. Ale jak daleko ta Polska, czy jeszcze dalej niż do Mińska?” „Daleko, synku, bardzo, bardzo daleko...” „Tak? Hmm, to niemożliwe, żeby tam wszyscy mówili po polsku. Czy jest taki kraj?”

Władek na dostojnym stole rozkłada jakieś starodruki, księgi omszałe pątną wieków.

— Miłości do książek ojciec nas uczył. Chociaż posiadał tylko podstawowe wykształcenie, był bardzo czytany. Prawie całego „Pana Tadeusza” znał na pamięć, no i nasze całe drzewo genealogiczne. Przez to wszystko wszczepił nam żywiołową miłość do Wileńszczyzny, przez swój sposób bycia, sposób życia. Te wszystkie białe krukiki kupiłem w Leningradzie. Kiedyś miałem za zaoszczędzone studenckie pieniądze kupić aparat fotograficzny, ale wstąpiłem do antykwariatu i... kupiłem „Pana Tadeusza”, tego oto, wydane w 1881 roku nakładem księgarni Altenberga, z ilustracjami E. M. Andriollego i ze złoczym grzbietem. A proszę spojrzeć na ten tom, to też biały kruk: „Józef hr. Potocki: »Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu. T. I. Indyę«. Warszawa, Gebethner i Wolf, 1896. W drukarni W. L. Anczyca i spółki w Krakowie. Drukowano 50 egzemplarzy numerowych na papierze japońskim. Egzemplarz Nr 16...”

— W Leningradzie wykupiłem też (po 2 ruble za tom, prawie darmo!) „Pisma» Adama Mickiewicza. Z portretem autora i ośmiu rycinami na stali. Nakładem S. H. Merzbacha w Poznaniu 1858”. To chyba jedno z pierwszych wydań pośmiertnych... A aparatu fotograficznego do tej pory nie mam! — śmieje się.

Władek rzeźbi twarze, zbiera numizmaty. Na stół wyklada „długie” Piotra I z 1737 roku, grosz Stanisława Augusta, no i unikalną monetę Księstwa Warszawskiego. Jest to 10 złotych polskich (1822) z napisem: „KRÓL POLSKI ALEKSANDER I CESARZ” i zupełnie unikalnym orlem: na piersi orla carskiego — orzeł polski!

— W tym, co zbieram, zastęglą nasza historia, jak te żyjątka w bursztynie... — cicho mówi Władysław Mieczkowski, zbiera szklanki i idzie do kuchni po dolewkę. Żony nie ma, samoobsługa. Żona Władka studiuje w Kownie. Też medycynę. I też pochodzi z polskiego domu...

Henryk Makarski

LISTY-POLEMIKI

„LUBELSKA

»BIAŁA PLAMA«”

Czytam Was od deski do deski i niecierpliwie czekam czwartkowego ranka, aby otrzymać kolejny numer „Relacji”. Mam wszystkie dotychczas wydane numery — i uważam, że informacje w nich zawarte powinny stanowić erratę do obowiązujących podręczników historii. Szczególnie trafnym było opublikowanie pracy Pana dr. Janusza Wróny pt. „Jaka Polska, jaka władza” — to jest właśnie ta errata, o której wspominam wyżej.

Upraszczając zapewne sprawę, można stwierdzić, że zbrojne podziemie powstało jako wynik represyjnej działalności — początkowo NKWD a następnie polskich władz bezpieczeństwa, inspirowanych w swej działalności właśnie przez NKWD. Czyli inaczej — powstanie zbrojnego podziemia było aktem samoobrony przed wywiezieniem na Syberię, przed więzieniem, przed sfingowanym oskarżeniem o współpracę z okupantem, przed karą śmierci. Pytam — a w jaki inny sposób ci młodzi, doskonale wyszkoleni ludzie mieli się bronić przed tymi podłościami? Mieli się biernie poddać temu bezprawiu, któremu patronowali tacy mężowie stanu jak np. Bierut, Minc i inni? Mieli się może masowo ujawniać, co zresztą miało miejsce, a było wynikiem obłudnej propagandy, a potem spokojnie czekać, aż do ich drzwi nocą łomotać będą prawdziwi

obrońcy demokracji z UB??? To, że szli do lasu, odnajdywali ukrytą broń i kierowali jej lufy właśnie do UB — było tylko i tylko aktem rozpacz.

I właśnie w tym miejscu chcę nawiązać do kolumny Listy-Polemiki, gdzie w numerze 14. wypowiedział się ktoś, kto skrył swe nazwisko w redakcyjnej teczce. Polemizując z wypowiedzią byłego AK-owca „Jurka”, autor tego listu wykazuje znakomitą znajomość realiów pracy i stosowanych metod w UB, wskazując tym samym w sposób jednoznaczny na swoją byłą profesję. Pan ten uważa, że wyroki śmierci wydawane były słusznie za tak zwane mokre roboty... czyli a la long usprawiedliwia działalność sądów wojskowych, działalność Prokuratury Wojskowej z Widajem na czele, z mocy wyroków których ginął sam kwiat armii AK, ginęli oficerowie AK, ginęli tak uspaniali ludzie jak np. ppłk Nurt.

Wina znakomitej większości był fakt, iż nadstawiali przysłowiowego łba, należeli do AK czy BCh i nie pozwolili się biernie wywozić na Sybir. Dalej autor tego listu łaskawie przyznaje, że „racja była po obu stronach” — no! przynajmniej tyleż że jednak częstokroć rację przyznał tym setkom tysięcy AK-owców represjonowanych jeszcze przez wiele lat po wojnie.

„Relacjom” też się dostało za brak obiektywizmu w przekazywaniu informacji dotyczących tzw. białych plam i za brak właściwego doboru tekstów. Prawdopodobnie Pana tego bardziej zadawałyby materiały gloryfikujące działania UB i NKWD. Autor listu liczy na odzew czytelników po opublikowaniu swej wypowiedzi — a w związku z tym tak właśnie proszę traktować moją pisaninę.

Andrzej Koba
Lubiń

Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1906 r. w Annopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Stanowi on jakby dopełnienie fresku wojennego autorstwa Lublinita, dr. Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna” — ewych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera 3 Dywizji Strzelców Karpackich. U Flisińskiego natomiast mamy relację podoficera, kancelisty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w syciu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Annopolu) zamieszka w swym dzienniku mnóstwo odniesień do rodzinnego regionu. Pisze też o ludziach z lubelskich wsi, miasteczek i miast, których spotkał w czasie długiej wędrówki — od łagrów połonowej na północy ZSRR republiki Kemi aż po winnice słonecznej Italii.

M. D.

OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Wacław Flisiński *Córcie mojej poświęcam*

Dżalal-Abad,
10 sierpnia 1942 r.

Opuszczamy Rosję! Od rana ładujemy się na stacji kolejowej Dżalal-Abad do wyjazdu w dalszą drogę do Polski. Coraz dalsza ta droga. Na razie przed nami — Persja.

Wyjazd naszego 5 Baonu Sanitarnego został zaplanowany na 10 sierpnia. Już szereg dni wcześniej rozpoczęto inwentaryzację sprzętu sanitarnego celem przekazania go wojskowym władzom sowieckim. Batalion mógł zabrać ze sobą za granicę ZSRR jedynie materiał pochodzenia angielskiego, dostarczony w ciągu ostatnich kilku miesięcy przez składnicę sanitarną w Jangi-Jul w Uzbekistanie.

O godzinie 11 rano pociąg nasz rusza. Kierunek — Krasnowodsk nad Morzem Kaspijskim.

Pahlevi (Peraja),
18 sierpnia 1942 r.

A więc jesteśmy już w Persji! Za nami tydzień podróży lądem i wodą.

Po opuszczeniu Dżalal-Abadu jechaliśmy pociągiem przez kilka dob bez przerwy, dniem i nocą. Mijaliśmy kolejne stacje Kirgizji, Uzbekistanu i Turkmenui: Andizan, Ferganę, Kokand, Lenin-bad, Dżizak, Samarkandę, Kogan koło Buchar, Bajran Ali, Mary, Jedzen, Aszachabad — aż wreszcie 13 sierpnia dotarliśmy do stacji kolejowej Krasnowodsk. Tutaj po wylądowaniu rozbiliśmy się obozem nad brzegiem Morza Kaspijskiego w pewnym oddaleniu od portu.

W Bazie Krasnowodsk przebywaliśmy tylko dwa dni. 16 sierpnia przewieziono nas samochodami do portu, a następnego dnia od wczesnego ranka zaczęliśmy się ładować na statek „Cziczerin”. W kilka godzin później byliśmy już na pełnym morzu; panowała piękna pogoda, słońce paliło.

Upchnięci byliśmy na tym statku jak w przysłowiowej beczce śledzi. Ciasnota wszędzie; na pokładzie i w lukach pod pokładem — niesamowita. Ja dla siebie znalazłem może niezbyt dobre miejsce, bo na daszku tzw. „kipitiki”, gdzie gotuje się wodę do picia — „kipiatok”. Gorąco tam było piekielnie, ale za to mogłem przynajmniej oddychać świeżym powietrzem. Obok mnie kulił się na daszku kolega, który uciekł z prawdziwego „piekła” na dnie luku, pod pokładem.

Płynęliśmy cały dzień, noc i rano 18 sierpnia. W samo południe statek nasz zawinął do perskiego portu Pahlevi.

Po wylądowaniu z „Cziczerina”, pięknym ciężarowym samochodem Dodge przewieziono nas (inni koledzy szli ten odcinek piechotą) do Obozu Ewakuacyjnego Wojska Polskiego pod Pahlevi. Jesteśmy teraz tutaj, w rejonie tzw. „brudnym”. Po dezynfekcji, kąpeli i zmianie umundurowania z

zimowego na tropikalne, mamy przejść do rejonu „czystego”.

Iran, Persja, Pahlevi. Inny świat otworzył się przed naszymi oczyma. Pierwsze wrażenia bardzo silnie zapisały się w pamięci. Przejżdżając przez ulice miasta Pahlevi, widzieliśmy sklepy zawałone produktami żywnościowymi. I nie było przed nimi tasiemcowych kolejek. Oczom i uszom własnym nie wierzyliśmy, że to wszystko bez najmniejszej trudności można kupić.

Pahlevi,
23 sierpnia 1942 r.

Od kilku dni kwaterujemy w naszym obozie ewakuacyjnym. Zajadamy się do syta, dosłownie wszystkim. Miejscowi kupcy, domokraczy dostarczają, czego dusza żołnierska zapagnie. Zachwala ją „warionyje jajka”; trzy — za „kran”. (Pieniądzem obiegowym jest w Persji „tuman” i mniejszy od niego — „kran”). Z tymi jajkami to była komedia. Początkowo sądziliśmy, że chodzi o jajka wronie. Okazało się, że to normalne kurze jajka, tyle iż ugotowane (po rosyjsku: „warionyje”).

Odpoczywamy po długiej i męczącej podróży. Opalamy się w tropikalnym słońcu. Przed nami, jak okiem sięgnąć, falujące morze. Błękitne morze zachęca do kąpeli.

W tutejszym obozie spotkałem Karola Jastrzębskiego z Chodla. Służy w 15 pułku piechoty. Znamy się z Karolem jeszcze z czasów zaporoskich. Karolek jest po podróży chory, gorączkuje, czuje się zmęczony i osłabiony. Nie może jeść. Zapycha się jedynie lodami. Ponieważ byłem bez pieniędzy, więc pożyczył mi jednego „tumana”, którego zaraz puściłem na lody i jajka.

Widziałem tu również sierżanta Stanisława Sykuta, którego znalazłem z Kadry Zapasowej 2 Szpitala Polowego w Lublinie. Sykut także choruje. Ma przydział do żandarmerii czy coś w tym rodzaju. Pałac fajkę, opowiadał mi o swojej żonie i córce, które zostały w Lublinie, w domu własnym przy ul. Bukowej.

Jutro o godzinie 6 rano mamy opuścić Pahlevi i ruszyć w dalszą drogę.

Khanaquin (Irak),
27 sierpnia 1942 r.

Rano 24 sierpnia załadowaliśmy się na wielkie ciężarówki irackiego przedsiębiorstwa samochodowego UKOC i ruszyliśmy poprzez kraje perską. Jechaliśmy m. in. przez Kazwin, Hamadan i Kermenszach, gdzie zatrzymywaliśmy się na noclegi. Droga prowadziła najpierw niziną, a później bardzo wysokimi górami, wśród których ostrymi serpentynami wila się szosa. Muszę tu podkreślić wysoką klasę irackich kierowców. Jechali cały czas bardzo szybko, a przecież na serpentynach jeden nieopatrzny ruch kierownicą mógł spowodować runięcie samochodu do głębokiej przepaści.

Dzisiaj o godzinie 16 dojechaliliśmy wreszcie do Obozu Wojska Polskiego pod Khanaquin w Iraku.

[Dołączony do dziennika tekst, powstały w późniejszym okresie:]

Mój wojenny przyjaciel, „imc herbu Kościeszka” Bolesław Kuczyński z Bobrujska, był w ZSKR — już po wyjeździe z Dżalal-Abadu naszej 5 Dywizji Piechoty — członkiem komisji likwidacyjnej, działającej pod przewodnictwem kpt. Drozdzkiego (byłego starosty kamieńskiego). Wyjechał ostatnim wojskowym transportem ze Związku Sowieckiego (1 września 1942 r.), jako odszedł drogą morską — przez Morze Kaspijskie. (Ostatni transport samochodowy wyruszył z Aszachabadu 20 września i przekroczył granicę perską 21 września. Wyjechało nim siedemnastu żołnierzy-ozdrowieńców i trzynastu członków rodziny wojskowych. Komendantem transportu był ppor. Aleksander Olszewski).

Prosiłem Bolka Kuczyńskiego, aby opisał swoje wrażenia z okresu, kiedy pozostał w opustoszałym Dżalal-Abadzie wraz z innymi członkami komisji likwidacyjnej, oraz zdał relację z ostatniego transportu odchodzącego z Krasnowodsk. Po jakimś czasie dostaliśmy od niego obszerny list. Bolek pisał:

Dowództwo naszej armii pozostawiło oddziały likwidacyjne, które miały przekazać władzom sowieckim pozostały sprzęt i ekwipunek, a później dołączyć do oddziałów macierzystych. Ja byłem w jednej z takich właśnie grup.

Do czasu odjazdu transportów wojskowych do Iranu centrum 5 Dywizji Piechoty było miasto Dżalal-Abad, a większość oddziałów zakwaterowana była w miejscowościach. Błagowieszczanka i Suzak albo w namiotach, w czystym polu. W miarę przekazywania sprzętu Sowietaom poszczególne oddziały likwidacyjne przybywały do tzw. Ośrodka Zapasowego w Dżalal-Abad w oczekiwaniu na transport. W samym Dżalal-Abadzie po wyjeździe wojska zrobiło się tak cicho, że można było na ulicach odróżnić kroki poszczególnych żołnierzy.

Na miejscowym rynku zmniejszyła się podaż, natomiast zwiększył się popyt miejscowej ludności na różne przedmioty sprzedawane przez pozostałych jeszcze żołnierzy. Można było znaleźć nabywców dosłownie na wszystko. Sprzedawało się starą bieliznę, ubranie, buty, kocy. Dostawało się za to tyle tylko, żeby kupić wódki i wina lub parę jajek czy też „pijatkę” mleka na miejscowym targowisku.

Wyznaczona przez Sowietaów komisja przybyła wreszcie i do naszego oddziału likwidacyjnego 5 Baonu Sanitarnego, aby przejąć pozostawione konie, dwukółki i sprzęt kwaterunkowy. Spisano odpowiednio protokoły; sprzęt przekazano. I zaczęliśmy czekać na odjazd.

Z nudy i bezrobocia chciało się wypic, ale nasze zapasy własne już się wyczerpały. Więc głowy zaczęły myśleć... W pierwszej kolejności poszedł na sprzedaż stos dębowego drzewa opałowego. W ciągu nocy przez parkany wszystko wytransportowano. Potem na rynku jedna żona enkawudziły głośno wyrzekała, że ona jako żona „dygnitarza” nie mogła kupić ani jednego kłosa drewna, a teraz tutaj...!

Po tym incydencie miejscowy sowiet postawił wartownika-inwalidę do pilnowania sprzętu. Wieczorem nasi żołnierze zaprosili wartownika na wódkę, a w tym czasie ich koledzy wyciągnęli ze stajni i sprzedali wszystkie drewniane złozy. Wynikł skandal. Przyszła z garnizonu, czy też z „rejkomu”, jakaś pani i głośno krzyczała, że żołnierze „razbarywają” sowiecki majątek. Calkiem możliwe, że jak by tak dalej poszło, to by został nawet rozebrany i sprzedany, niewykofczony jeszcze, murywany składzik. Ale dowódca oddziału, por. Rządca-Wykręto-wicz ostrzegł, że jeżeli jeszcze raz coś się podobnego zdarzy, to winnych odda w ręce bolszewickich władz. To poskutkowało!

Wkrótce nadszedł i dla nas oczekiwany dzień odjazdu z Dżalal-Abadu. Wraz z rodzinami wojskowymi, objuczeni niepomiernie ekwipunkiem, załadowaliśmy się do podstawionych wagonów. Był upalny dzień, w wagonach dusz-

no. Ale nikt nie zwracał na to uwagi, nikt nie narzekał. Byle — wyjechać.

Jechaliśmy sześć dni i w tym czasie tylko trzy razy otrzymaliśmy obiad, a przez resztę czasu żyliśmy suchym prowiątem, kupując jedynie na stacjach kawony i uruk. Na kilkaset kilometrów przed Morzem Kaspijskim wjechaliśmy w Turkmenui w pustynię, w tak zwany „głodny step”, który charakteryzuje się zupełnym brakiem wody. Także w Krasnowodsku są trudności ze słodką wodą. Sprowadzają ją tutaj statkami-cysternami z Baku przez morze. I stąd jej popularna nazwa: „Bakincka woda”. Tak mocno mężczyźni nas w Krasnowodsku pragnienie, że ja za manierkę wody zapłaciłem aż pięćdziesiąt rubli, czyli około czterech dolarów.

Kiedy wreszcie załadowano nas na statek i odbiliśmy od brzegu, każdy odetchnął powiewem wolności. Kobiety zaintonowały: „Serdeczna Matko...” (czego sowieciarze zabraniali). Odpłynęliśmy z Krasnowodsk na obiedzie, a rano 1 września statek nasz przyco-mował w porcie Pahlevi w Persji.

Jeszcze tego samego dnia wydano nam ubrania tropikalne, tj. spodnie płócienne z zawijanymi nogawkami, koszulki z tkaniny przezroczyściej i australijskie kapelusze. Każdy odmłodniał i wyglądał na skauta. A ci z prowiąntury, z brzuskami, wyglądali jak przesił zwiazku harcerskiego.

Już w Krasnowodsku żołnierze zaczęli masowo chorować na żółtaczkę. W Pahlevi choroba ta spotęgowała się. Mój kolega, żywnościowy z Ośrodka Przejściowego, też zachorował. Prosił mnie, abym go na razie zastępował. Ja też byłem chory, ale jakoś tam jeszcze się ruszałem...

Poszedłem po fasunek. Na początku bardzo się zdziwiłem, że za mało chleba dają. Wyglądało tak, że niczym w biblijnym opowiadaniu, siedmioma chlebami mam wykarmić tysiące... No, bo w Sowietach otrzymywaliśmy po 600 gramów na głowę i było to mało. A tu — ledwie po... 250 gramów. Ale zaraz okazało się, że do chleba zaczęli mi dokładać: po 200 gramów prasowanych daktyli na osobę, po 60 gramów cukru, po kawałeczku sera, jakieś tam konserwy... A kiedy zbliżyłem się do mięsa, to magazynier nie zapytał mnie, ile mam ludzi na stanie, tylko... ile mam kotłów w kuchni! I powiedział: „Bierz, ile zmieścisz do kotłów”. Wziąłem więc z kucharzami, „na oko”, dwie małe tusze i odtaskaliśmy do kuchni. Ledwie to wlażło do kotłów. Ryż i woda były tam tylko na dodatek, do smaku.

Władze wojskowe wypłaciły nam zaliczkę w „tumanach” i „kranach” — w wysokości jednego funta. Za to można było sporo kupić. Powstała przede wszystkim kwestia uroczystego obłania pierwszego obiadu. Ja zazwyczaj wszystkie swoje dolegliwości leczyłem „uodęcznością”. Więc i teraz, żeby uśmierzyć ból wątroby, zaproponowałem „żubrówkę”, a kucharze wyciągnęli trochę nerek z kota. Doskonala była to uczta. Tylko że potem odczuwałem coś niby kamień pod żebrami, który „leżał” mi przez kilka tygodni...

Po dwóch dniach pobytu w obozie zaczęły wyjeżdżać przed bramę półciężarówki perskie. Ładowano nas do nich dość przestronnie; a później wszystko to ruszyło przez góry i wwozy, przez Persję do Iraku. Droga była ciężka, bo kurz, upał i wyboiste drogi. Jechaliśmy pięć dni. Aż któregoś dnia raptem z płaskowyzu zaczęliśmy zjeżdżać w nizinę. Pojawili się w jakimś momencie na zupełnym pustkowiu urzędnicy celni w długich koszulach. Nie rewidowali nas, albo tylko symbolicznie. Mówili: „To jest granica z Irakiem”.

Wreszcie dotarliśmy do swoich. W namiotach ciasno, na zewnątrz skwaro. I tak rozpoczęło się nasze życie na pustyni.

Podał do druku i opracował:

Mirosław Derecki

Wydrukowaliśmy 29 odcinków (łącznie z powyższym) dziennika Wacława Flisińskiego. Na tym zawieszamy publikację w oczekiwaniu na opinie czytelników — czy cykl wzbudził zainteresowanie i należy go kontynuować?

(Red.)

„SPALIŁEM OJCA W PIECU CHLEBOWYM”

Henryk Makarski

11 MARCA 1988 roku komendant Posterunku MO w Kąkolewnicy (woj. białostocko-podlaskie), mł. chor. Zbigniew Grudziń, przyjął zgłoszenie o zaginięciu 65-letniego Franciszka M. z O.

Mieszkający z Franciszkiem M., 24-letni syn, Włodzimierz M., oświadczył, że ojciec wyszedł z domu 22 stycznia i od tamtej pory słuch o nim zaginął.

Włodzimierz przed trzema laty objął po ojcu gospodarstwo, ale po kilku miesiącach uciekł do miasta i podjął pracę w jednej z warszawskich fabryk. Powodem rezygnacji z gospodarstwa był ojciec: wtrącał się do wszystkiego, ograniczał swobodę w prowadzeniu gospodarki, a nawet zabraniał dorosłemu synowi wychodzenia z domu i kontaktowania się z ludźmi, bo go, rzekomo, przeciwko ojcu buntują. Stary był ze wszystkimi szałocący; nie rozmawiał nawet z rodzonym bratem, mieszkającym przez ścieżkę.

— Bił żonę cepem, a później tłumaczył dzieciom, że matka spadła w stodołę z wysokości. Sam widziałem, jak najstarsza córka walił siekaczem do kartofli, i całe szczęście, że się trzonek złamał, bo mogło być tragicznie. Żona z tego wszystkiego dziesięć razy poroniła, wreszcie uciekła do córki pod Warszawę i szybko się zawinęła z tego świata. A bo to ludzie nie wiedzą, że kiedy pracował onegdaj na Śląsku, to rzucił się na poborcę z siekierą? Drań, stary drań i tyle! — scharakteryzował zaginionego szwagier.

Syn dał się jednak uprosić ojcu i wrócił na gospodarstwo.

22 stycznia Włodek wrócił z zakupów i na stole zastał kartkę: „Włodziu, ja jadę do szpitala, może wpadniesz do mnie”. Ojciec od dawna skarżył się na bóle głowy i planował szpitalną kurację. Posiadał przy sobie legitymację rencisty PKP i książeczkę PKO z wkładem 200 tys. zł; ubrany był w mundur kolejarski, palto i futrzaną czapkę z daszkiem, a oprócz torby z przyborami toaletowymi miał w garści łaskę brązową z wydrążonym w środku otworem, w których przechowywał 30 dolarów i 100 tys. zł w gotówce. Do pobrania pieniędzy w razie jego śmierci był upoważniony jedyny sąsiad, z którym rozmawiał, Józef S. Tak przynajmniej wynikało z relacji syna, do którego ojciec zaufania nie miał i przeciw któremu w tej sprawie zaczęły świadczyć coraz to nowe okoliczności.

Po pierwsze — nie odnaleziono kartki pożegnalnej, jaką rzekomo, zostawił ojciec na stole. Po drugie — nie

odnaleziono Franciszka M. w żadnym ze szpitali miejskich i kolejowych. Po trzecie — syn zgłosił zaginięcie ojca dopiero po 39 dniach! Po czwarte — syn w 6 dni po zaginięciu ojca pobrał z książeczki PKO z upoważnienia aż 164 tys. zł. Po piąte — w kwietniu pożyczal cement i deski na jakąś skrzynię (stwierdzono w piwnicy świeżo zabetonowaną posadzkę o wymiarach 2,10 x 0,90 m).

Wszystkie te okoliczności, rozpatrywane w kontekście ciągłych awantur między ojcem i synem, upoważniały do wysunięcia zasadnego podejrzenia: 23 kwietnia 1988 roku Włodzimierz M. został zatrzymany i aresztowany jako podejrzany o to, że 22 stycznia w zamiarze pozbawienia ojca życia uderzył go siekierą w głowę, powodując ranę ciętą, skutkiem czego Franciszek M. zmarł.

— Ojciec ostatnio wyprzedził inwentarz i miał za to 800 tys. zł. O ile wiem, 200 tysięcy wpłacił na książeczkę, 200 pożyczyl swojemu bratu, który jest pracownikiem Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, a pozostałe 400 tys. miał przy sobie. Po zaginięciu ojca dwa razy pobrałem jego rentę, żeby się nie zmarnowała. Dlaczego zwlekalem z szukaniem ojca? No... miałem kłopoty z telefonicznym połączeniem z rodzeństwem, a zresztą, co ja będę kręcił, i tak dojdziecie do prawdy, jesteście wszyscy ode mnie mądrzejsi, ja mam tylko siedem klas szkoły podstawowej...

To było tak... Ojciec popijał denaturat, bo podobno łagodziło mu to duszenie w środku. I robił się wtedy awanturny, więc schodziłem mu z oczu. Tego dnia spał na stole, a kiedy wróciłem, przebudził się i zaczął mnie wyzywać od sk...synów, leniów i bałaganarzy, że go zostawiam samego i nie opiekuję się, że ma czworo dzieci, a nie ma nikogo i musi do domu starców się starać. W końcu ryknął: „Sp...laj, albo ci tak przyp...lę, że się nogami nakryjesz!” Odpowiedziałem, że sam jest podły i przez niego zmarła matka. Wtedy się rozjuszył, złapał siekierę i zamachnął się. Wyrwałem mu siekierę i zadalem cios w głowę. Nie mogłem jej wyszarpnąć z czaszki, dopiero jak popchnąłem trzonek. Zaciągnąłem go na łóżko, usiłowałem kilka razy wstać, ale go przyciskałem. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co uczyniłem. Co robić? Zrobiłem obrządek w podwórku, a na drugi dzień tę krew to zmywałem i zmywałem...

Chodziłem jak błędny, dopiero ryk głodnego inwentarza mnie otrzeźwiał.

Na trzeci dzień, w niedzielę, poszedłem do kościoła, bo odczuwałem potrzebę znalezienia się wśród ludzi. A potem medytowałem, co dalej. Najpierw chciałem zwłoki zakopać, ale bałem się, że sam nie dam rady, więc postanowiłem je spalić w piecu chlebowym. Najpierw obciąłem ręce i nogi, potem po kawałku wkładałem do pieca i oblewałem benzyną oraz ulubionym trunkiem ojca, denaturatem. Paliłem i polewałem, aż został sam popiół. Popiół wysypałem na ogród, krwawe szmaty też spaliłem i to wszystko.

No i jeszcze coś. Myślałem często o samobójstwie, ale pechowiec ze mnie. No bo jak wypilem przed trzema laty truciznę, taki środek na grzybicę zwierząt, to tak mnie paliło, że wypili kilka wiader wody, no i mnie odratowali. Potem podciąłem sobie żyły, ale krwotok ustal na skutek wysokiej krzepliwości krwi... Dlaczego chwilowo odwołałem swoje przyznanie się? No bo w czasie rejestracji w zakładzie karnym byłem traktowany przez personel jak prawdziwy przestępca i wyzywany od sk...synów! — stwierdził z oburzeniem Włodzimierz M.

Mimo braku wykształcenia nie był człowiekiem prymitywnym. Świadczy o tym m.in. zadziwiający list, jaki wysłał z aresztu:

„Kochani! Jestem zdrowy i czuję się świetnie. Życzę wam samych piątek i cudownych, radosnych wakacji, dużo słońca na koloniach. Dariuszku, nie martw się o zęba, wyrośnie Ci drugi. Ja też zgubiłem zęba i zgoliłem wąsy. Teraz macie sianokosy i upojny zapach świeżo ściętych traw. Śniło mi się, że jestem na takiej łące, pełnej precudnych pachnących, niemalże rajskich kwiatów. Od horyzontu po horyzont tylko łąka i kwiaty i ja sam na tej łące. Budził się dzień, wstawało piękne duże słońce, które powoli oświetlało, dodawało piękna, w którego promieniach kropelki rosy iskrzyły się, lśniły jak miliony pereł. Mgła powoli unosiła się i w pewnym momencie z tej mgły ukazała się piękna jasnowłosa dziewczynka, ubrana w muślinową szatę. Wyciągnęła w moim kierunku ręce, jakby mnie przyzywała do siebie. Podbiegłem. Ona łagodnym ruchem ręki odgarnęła swoje długie włosy do tyłu, ukazując bajecznie śliczną, anielską twarz. Usta jej jak płatki róży rozchyliły się w ośmieszającym uśmiechu. Niebieskie niewinne oczy zachęcały do zbliżenia. Po przez przezroczyście tkaninę jej szat przebiegała forma i kształt jej boskiego

ciała, wzbudzając pożądanie. Chciałem jej dotknąć, a kiedy to uczyniłem, bogini zniknęła, rozwiła się, a ja pozostałem z wyciągniętą dłonią. Promieniąca radość, uczucie lekkości i zachwytu też odplynęło. Ogromny żal ścisnął serce, że to tak krótko trwało. Wokół mnie poszarzało, zniknęła łąka i kwiaty, i słońce. Wtedy się przebudziłem, oczywiście w areszcie. To tyle na temat snów. Jeszcze raz dziękuję za list i proszę o następny. Cieszę się, że jesteście ze mną. Całuję Was mocno, Włodek.”

Tchnąca z tego listu fantazja umocniła wątpliwości osób prowadzących sprawę. Czy cała ta historia z zabójstwem, ewiartowaniem zwłok i kremacją nie jest również chorobliwą fantazją? W piecu bowiem nie odnaleziono żadnych śladów palenia zwłok, najmniejszych nawet fragmentów kości itp. Prokuratura zwróciła się więc do Zakładu Medycyny Sądowej w Lublinie oraz Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie z prośbą o ekspertyzę biegłego: czy możliwa jest całkowita kremacja — łącznie ze spopieleniem wszystkich kości ludzkich — zwłok o wadze 70 kg i wzrostie około 180 cm, częściowo rozkawałkowanych, lecz spalonych razem w piecu chlebowym o wymiarach 35x75x100 cm? Powołano również biegłych lekarzy psychiatrów.

Wyniki obu ekspertyz były wielce interesujące. Otóż psychiatrzy rozpoznali u podejrzanego objawy nieprawidłowej struktury osobowości w postaci chłodu uczuciowego, schizoidii i egocentryzmu. Natomiast druga ekspertyza brzmiała: nie ma możliwości spalania zwłok w warunkach określonych w zapytaniu.

Co dalej? Gromadzono wszelkie informacje, wśród których przeważały sensacje typu: znajomy kolejarz widział Franciszka M., w rok po zaginięciu, na dworcu kolejowym, jak jechał „na Otwock”; Franciszek M. żyje i przebywa we wsi koło Międzyrzecza Podlaskiego u jednej wdowy pod lasem; Franciszka M. „sprzątnął” sąsiad Józef S. i ograbił z pieniędzy; nie, sprzątnął go rodzony brat itp.

W końcu sprawę umorzono z braku dowodów winy, ale ci, którzy się w niej najbardziej napracowali — tzn. st. chor. Jan Pasik z Wydz. Dochodzeniowo-Sledczego i por. Wiesław Marczyk z Wydz. Kryminalnego WUSW w Białej Podlaskiej — nie tracą nadziei na jej ostateczne wyjaśnienie.

LISTY-POLEMIKI

W SPRAWACH WYZNANIOWYCH

W 10 nrze „Relacji” (23—29 marca) pojawił się list podejmujący kwestię wyznaniową na terenach wschodnich II Rzeczypospolitej, a konkretnie problemy unicko-prawosławne; list ten został opublikowany przez Autorkę zastrzegającą swoje nazwisko i adres do wiadomości redakcji. Ponieważ nie mogę pogodzić się z wieloma stwierdzeniami i sformułowaniami użytymi we wspomnianym liście, pragnę na łamach „Relacji” wyjaśnić kilka zagadnień:

1) Nie wydaje mi się słusznym traktowanie problemu fałszywego „Chryztusa” jako integralnie związane z walką wyznaniową katolicyzmu z prawosławiem. Rosja i Białoruś zawsze były krajami, w których nie brakło rozmaitych sekt religijnych, powstałych na gruncie prawosławia. Sekty te miały zwykle charakter mistyczno-prowocki, nieraz w ich doktrynie (a raczej doktrynach) widoczne były wpływy protestantów (baptyści, ewangeliczni chrześcijanie itp.). Jednym z obszarów objętych w takie sekty była Białostoczczyzna (np. sekta tzw. chłystów grzybowoszczyńskich). Nawiasem mówiąc, członkowie takich sekt nigdy nie cieszyli się sympatią oficjalnych czynników Kościoła prawosławia i byli prześladowani przez carat i władzę cerkiewną; byli oni dyskryminowani, wyklęceni, zmuszani do praktyk niezgodnych z ich własnym sumieniem religijnym.

2) Z całą stanowczością stwierdzam, że w okresie międzywojennym nie nastąpił żaden „masowy powrót Polaków-unitów do Kościoła katolickiego”. W ogóle jedyny autentycznie masowy zwrot „przepisanymi” siłą na prawosławie unitów ku katolicyzmowi miał miejsce w r. 1905, kiedy to po ogłoszeniu przez cara ukazu o tolerancji wyznaniowej (ukaz ten wymusiła na Mikołaju II rewolucja) przeszło na katolicyzm (zresztą w obrządku łacińskim) ok. 200 tys. prawosławnych, byłych unitów z terenu dawnej unickiej eparchii (diecezji) chełmskiej (oficjalne dane ogłoszone przez Kościół prawosławny podawały liczbę 165 747 wiernych).

W okresie międzywojennym działały struktury tzw. neounii, czyli obrządku bizantyjsko-słowiańskiego. Neounia, istniejąca od 1924 r. (początkowo w diecezji podlaskiej, później także w wileńskiej, pińskiej, łuckiej), skupiała w roku 1939 ok. 26 tys. wiernych narodowości ukraińskiej i białoruskiej (choć wielu spośród nich nie miało jeszcze wykształconej świadomości narodowej) w 43 parafiach. Neounia nie miała własnej hierarchii kościelnej. Kapłani i diakoni tego obrządku podlegali biskupom ordynariuszom łacińskim. Neounickie duchowieństwo rekrutowało się spośród jezuitów obrządku wschodniego, księży konwertytów z prawosławia oraz wychowan-

ków neounickiej filii łuckiego seminarium duchownego, która to filia, założona w 1927 r. w Dubnie, została w r. 1931 przekształcona w Papieskie Międzydiecezjalne Seminarium Wschodnie.

Akcja neounijna miała się stać ośrodkiem oddolnego zjednoczenia prawosławia z katolicyzmem, miała również za zadanie ograniczyć ukrainizację prawosławia i zapobiegać wpływom Kościoła grekokatolickiego wśród ludności ukraińskiej. Obecnie istnieje tylko jedna czynna parafia obrządku bizantyjsko-słowiańskiego, mieszcząca się w Kostomłotach nad Bugiem.

Historia notuje także inne „nawrócenia”, w odróżnieniu od poprzednich niechlubne, przeprowadzone siłą przez władzę państwowe. Była to akcja tzw. rewindykacji narodowych, przeprowadzona przy udziale policji i wojska w latach 1938—39, polegająca na burzeniu świątyń prawosławnych i „nawracaniu” na obrządek łaciński prawosławnych Ukraińców i Białorusinów. Warto wspomnieć, że od tych haniebnych poczynań stanowczo dystansował się Episkopat Polski. Przeciwnie „rewindykacjom” protestowali w Sejmie RP m.in. posłowie ukraińscy, zarówno grekokatolicki, jak i prawosławni. Stanowczo potępił te barbarzyńskie ekscesy metropolita lwowski obrządku grekokatolickiego, ks. abp. Andrzej Szeptycki. Sprzeciwiła się tej akcji znaczna część polskiej opinii publicznej, przedstawiciele wielu ugrupowań politycznych, tak lewicowcy, jak i konserwatyści.

3) Mój głęboki sprzeciw budzi także ostatni akapit wspomnianego listu. Zawiera on obraźliwe sformułowania pod adresem Ukraińskiego Kościoła Katolickiego oraz publicystów głoszących „kłamliwe” tezy o jedności Kościoła unickiego i „Kościół ukraiński”. Otóż, w ogólniejszym znaczeniu, nikt kompetentny nie napisze, że „Kościół unicki to Kościół ukraiński” czy jakkolwiek inny, bowiem katolickich Kościołów wschodnich jest na świecie 16 (melchicki, maronicki, koptyjski, etiopski, ormiański, syryjski, malankarski, malabarski, ukraiński, grecki, chaldejski, bułgarski, karpato-ruski, rosyjski, italo-albański, węgierski), wśród których 8 reprezentuje tradycję bizantyjską (melchicki, ukraiński, grecki, bułgarski, rosyjski, węgierski, karpato-ruski, italo-albański).

Namiasz ody bierzemy pod uwagę Kościół unicki w Rzplitej przedrozbiorowej, musimy pamiętać o tym, że był to Kościół ukraińsko-białoruski, choć z domieszką Polaków. Zresztą obecnie jedynym Kościołem wywodzącym się z tradycji Unii Brzeskiej jest właśnie Ukraiński Kościół Katolicki, działający wśród grekokatolików-emigrantów na Zachodzie, a także w Polsce (pdzie jego status prawny jest nieuregulowany) i w ZSRR (nielegalnie). Wierność Ukr. Kościoła Kat. Rzymowi była wielokrotnie podkreślana przez kolejnych papieży, od Piusa XII do Jana Pawła II.

Piotr B. Siwicki
Lublin

Z DAŁA OD LUDZI

Dokończenie ze str. 9

W wielu wypadkach mamy do czynienia z zawołaniami — powiada pan Waldemar. — Potrafią się tak zorganizować, że tylko pień po drzewie zostaje w lesie. Udowodnić im kradzież jest bardzo trudno. Trzeba złapać na gorącym uczynku, a i to nie zawsze przynosi spodziewany skutek. Dziesięć lat temu, kiedy stawiałem pierwsze kroki w tym zawodzie, nie miałem jeszcze takiego doświadczenia jak dzisiaj. Któregoś dnia, podczas obchołu lasu, usłyszałem wyraźny odgłos piły, a później brząsk walącego się drzewa. Podszedłem bliżej i zobaczyłem trzech mężczyzn ładujących sosnę na wóz. Ciemno już było, więc wycofałem się po cichu, wyszedłem z lasu i czekałem na nich przy drodze. Jadą. Po śladach doszedłem do chałupy, koło której zwalili drzewo. Zawolałem leśniczego i obaj zatrzymaliśmy złodziei. Wtedy zrozumiałem, że zatrzymać kogoś z kradzionym drzewem to jedno, a udowodnić mu, że pochodzi z państwowego lasu, to drugie. Chłopi pokazali asygnatę. Niby na papierze wszystko się zgadzało. Wróciliśmy więc na miejsce, gdzie wycięli tę sosnę, a tu ani śladu po pniu. Przepadł jak kamień w wodę. Przenierzyłem miejsce krok po kroku i nic. „Przecież nie wyrwali z korzeniami!” — pomyślałem sobie, ale dałem za wygraną, bo pień wyparował jak kamfora. Dopiero po kilku tygodniach, kiedy ponownie tamtędy przechodziłem, zauważyłem leżące na ziemi drzewko. Patrząc i oczom nie wierzę. Obok niego widnieją pień sosny, którego wcześniej nie mogłem znaleźć. Okazało się, że złodzieje ścięli drzewo tuż przy samej ziemi, przykryli ściółką, a w środek pnia wbił młodą sosnę.

Ludzie wynoszą z lasu, co się da. Nie gardzą drewnem na opał czy zwykłymi żerdziami, którymi później poprzetykane są okoliczne ploty. Ale z ludźmi trzeba też umieć postępować, twierdzi leśniczy. Ukarać mandatem można zawsze. Tylko kto by później przyszedł do lasu w okresie zalesiania? Czasami większe korzyści są, kiedy amator państwowej własności odda, co ukradł, i popracuje społecznie kilka dni przy sadzeniu drzewek...

Kiedy mijamy wieś Maziarnię, leśniczy zatrzymuje samochód wypożyczony tego dnia z nadleśnictwa w Biłgoraju.

— O, tam za wsią, jakieś kilkaset metrów jest granica — wskazuje ręką

pole widniejące za wiejskimi chałupami.

— Granica? — pytam zdziwiony. — Nie ta dzisiejsza — śmieje się leśniczy. — Tu, między wsiami Golec i Maziarnią, przebiegała przed pierwszą wojną granica rosyjsko-austriacka. W Golecach mieszkali carscy, a w Maziarni już cesarsko-królewscy. Granicy nie ma, ale droga została. Nikt jej nie zorał. Chłopi z Maziarni do dzisiaj nie mówią inaczej jak „za granicę”, kiedy idą do Golec...

Dziś rusza leśnym traktem... Leśniczy Sprysak jest młody. Ma 34 lata. Może dlatego denerwują go jeszcze różne rzeczy, które chciałby zmienić, „postawić na nogi” — jak sam mówi...

W połowie lat siedemdziesiątych ktoś wpadł na „genialny” pomysł, aby nadleśnictwa, poza rejonami wydzielonymi, przestały sprawować kontrolę nad zwierzyną. Tereny leśne wydzielano Polkiemu Związkiowi Łowieckiemu, który od tej pory ma za zadanie prowadzić hodowlę i ochronę zwierzyzny w kołach łowieckich.

— Tu zaszało jakieś grube nieporozumienie — twierdzi stanowczo leśniczy. — Ja jestem na miejscu. Przemierzam codziennie kilkadziesiąt kilometrów po lesie. Wiem, gdzie zalega zwierzyzna, kiedy na przykład wilki mają małe i ja mogę co najwyżej zgłosić do nadleśnictwa, że pasieka jest pusta, że nie ma w niej karmy, czy też powiadomić o przypadkach kłusownictwa. Formalnie bowiem opieka nad zwierzetami nie należy do moich obowiązków. Pół biedy, jeśli w kołach łowieckich większość stanowią leśnicy mieszkający lub pracujący niedaleko swoich obwodów. Ale przecież do związku należą również ludzie zupełnie nie związani z lasem. Jak taki myśliwy Iksiński mieszka w Lublinie czy Warszawie, to on będzie przyjeżdżał tu systematycznie doglądać zwierzyzny? Czas polowania zacmnie się i skończy. On pojedzie, a zwierzyzna zostanie. Wprawdzie myśliwi powierzają część swoich obowiązków okolicznym mieszkańcom, ale to taka robota. Pan wie pańskie oko konia tuczy. Ja sam nie poluję, a broni służbowej nie mam. Jak spotkam w lesie kłusownika z obrzywkami, to mogę mu najwyżej ręką pomachać — dodaje z sarkazmem w głosie pan Waldemar.

Kończymy naszą wędrowkę po lesie. Wracamy do Osady. Dem leśniczego Sprysaka nie przypomina swym wyglądem prawdziwej leśniczówki. Ma-

ly parterowy dwurodzinny budynek w kształcie prostokąta został wybudowany już po wojnie. Wchodzimy do środka. Dwa pokoje z kuchnią urządzone są skromnie. Drewniana podłoga, starannie pomalowana farbą, technicznie świeżość. Pokój, do którego zaprosił mnie leśniczy, prawie niczym nie różni się od miękkich klitek. Regał z książkami, wersalka, stół, krzesła. Tyłko poroża wiszące na ścianie mogą zdradzać profesję gospodarza.

— To nie są moje trofea. Ja nie poluję — przypomina pan Waldek. — Czasami znajduję zwierzę zabiłe i porzucone w lesie przez kłusownika. Ślika do zastawki, więc poroże przynosię do domu.

Pani Alicja, żona leśniczego, krząta się po kuchni. Przygotowuje obiad. Dzieci niedługo wrócą ze szkoły, to i coś gorącego zjedzą ze smakiem. Sześć kilometrów na piechotę z Huty Krzeszowskiej potrafi zaostrzyć apetyt. Tomiś chodzi do trzeciej klasy, a Agnieszka do pierwszej. Dwanaście kilometrów w obie strony (służbowy dzięk zabiera je tylko wtedy, gdy rozpoczynają zajęcia o ósmej rano) to dużo jak dla takich dzieciaków. Pół biedy latem, kiedy jest ciepło, ale zimą... odechciecie się wszystkiego.

— Jak jest duży mróz — mówi pani Alicja — nie ruszamy się stąd nigdzie. Nawet na święta do rodziny. Mury cieniućkie. Zimno. Po dwóch, trzech dniach nieobecności w domu musiałabym tydzień palić, żeby dogrzezać mieszkanie.

Czasami w lecie jeżdżą do Biłgoraja po zakupy czy do rodziców — to wszystko. Najczęściej siedzą w domu. Przywyożali się. Las wciąga. Nie zrezygnują. Ale chcieliby bliżej ludzi. Mają nadzieję, że dostaną mieszkanie w Hucie Krzeszowskiej, gdzie budowany jest sześciopokojowy dom dla pracowników nadleśnictwa. Pan Waldek miałby bliżej do swojego lasu, a żona mogłaby pójść do pracy, bo — jak mówi — z chudej pensji męża (bez rodzinnego około 80 tys.) trudno jej związać koniec z końcem. Kury i kilka królików, które trzyma koło domu, to niewielki dodatek dla czteroosobowej rodziny.

Leśniczy przysłuchuje się utyskiwaniom żony i kiwa z uśmiechem głową.

— Zona marudzi, ja też czasami wkurzam się, jak papierkowa pisani- na czy brak części do piły odrywają mnie od lasu, ale żadne z nas nie wróciłoby do miasta. Chociaż finansowo byłoby nam z pewnością lepiej, a dzieci miałyby kino, dom kultury i szkołę na miejscu. Tutaj jestem u siebie, na własnym gospodarstwie. Widzę, jak drzewa, które posadziłem, rosną. Jak las zasypia na zimę i budzi się ze snu na wiosnę. Może to banalne, ale taka jest prawda. Nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć. Tu trzeba po prostu umieć i chcieć być.

Zbigniew Dzieciołek

INFORMATOR KULTURALNY

TEATR

XIV Zamojskie Lato Teatralne
2.07 godz. 21 (Zamość — Rynek); 3.07 godz. 18 (Hrubieszów): „Naręczona rozbójnika” w wykonaniu aktorów Teatru Popularnego w Warszawie.
4.07—6.07 godz. 17, 19 (Zamość — Kazamaty): „Zapiski więzienne Stefana Kardynała Wyszyńskiego” w wykonaniu aktorów Teatru Ochota w Warszawie.

MUZYKA

W LUBLINIE

4.07 godz. 19.45 (Katedra Lubelska) — koncert nadzwyczajny amerykańskiej orkiestry studenckiej New Jersey Youth Symphony pod dyktando George'a Marrinera Maulla. W programie: Uwertura Wielkanocna op. 36 — M. Rimskiego-Korsakowa, IV Koncert brandenburski G-dur — J. S. Bacha, trzy utwory w dawnym stylu — H. M. Góreckiego oraz Wiosna Appalachów — A. Coplanda.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa linorytu Leszka Kiljańskiego.
Muzeum Lubelskie — wystawa pt. „Węgierski strój kobiecy IX—XIX w.”
Galeria BWA (ul. Narutowicza 4) — wystawa fotografii Tomasza Tomaszewskiego pt. „Spojrzenie Ameryki” z tekstem Małgorzaty Niezabitowskiej.
Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa rzeźby Klause Simona pt. „Zwrotnik”.
Oddział Kultury Fizycznej i Sportu (Al. Zygmunta 4) — wystawa pt. „Sport w plastyce NRD”.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Muzeum Okręgowe — wystawa pt. „Sztuka jarmarków i odpustów”; — wystawa malarstwa, grafiki i rysunku Wojciecha Działko pt. „Koń jaki jest...”.

W ZAMOŚCIU

BWA: 29.06 — otwarcie wystawy pt. „Plakaty Franciszka Starowieyskiego” ze zbiorów BWA w Puławach.
Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa malarstwa i grafiki artystów z Łucka.

XXIII OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL
KAPEL I SPIEWAKÓW LUDOWYCH
W KAZIMIERZU

29.06 godz. 10 — seminarium folklorystyczne (SARP); godz. 15.00 — uroczyste otwarcie Festiwalu: „Marzyskie granie” w wykonaniu Zespołu z Marzysza; godz. 16 — koncert konkursowy; godz. 19 — koncert laureatów XXII Festiwalu; godz. 21 — wieczór gawęd ludowych; godz. 22 — „Obrzęd chrzcinny”, „Korowaj” w wykonaniu Zespołu z Tyniewicza.

30.06 godz. 10 — koncert konkursowy; godz. 16 — konkurs „Duży — Mały”; godz. 18 — koncert konkursowy; godz. 20 — wieczór poezji ludowej; godz. 21 — „Kieleckie święci” w wykonaniu Zespołu Obrzędowego z Marzysza, „Pożegnanie rekruta” w wykonaniu Zespołu Obrzędowego z Mroczkowie i Kamienia.

1.07 godz. 9 — otwarcie Targów Sztuki Ludowej; godz. 10 — koncert konkursowy; godz. 15 — impreza dla dzieci „Bosa Nóżka” — SARP; godz. 15 — koncerty towarzyszące; godz. 20 — zabawa ludowa.

2.07 godz. 9 — Targi Sztuki Ludowej; godz. 10 — koncerty towarzyszące; godz. 12 — korowód zespołów festiwalowych; koncert laureatów XXIII Festiwalu; godz. 16 — koncert towarzyszący; godz. 17.30 — koncert „Lubelszczyzna żegna festiwalowych gości”.

OGŁOSZENIE

Zagraniczne oferty matrymonialne paniom, panom poleca „WENUS” skr. 27, 59-850 ŚWIERADÓW ZDRÓJ.

1/P-10

Z KSIĘGARNI

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Wiktor Zawada: „Leśna szkoła strzelca Kaktusa”. Wyd. Lubelskie, 860 zł. Trzecia część cyklu powieściowego, którego akcja rozgrywa się na Zamojszczyźnie.

Vytaute Žilinskaitė: „Robot i motyl”. Nasza Księgarnia, 750 zł. Bajki autorstwa współczesnej pisarki litewskiej.

POEZJA

Bolesław Leśmian: „Poezje”. Wyd. Lubelskie, 1200 zł. Wybór i wstęp Bohdana Zadury.

PROZA

Teodor Jeske-Choiński: „Tiara i korona”. Instytut Prasy i Wydawnictw „Novum”, t. I/II, 1550 zł. Powieść historyczna, której kanwą jest spór między papieżem Grzegorzem VII a królem Henrykiem IV.

Marja Szczepowska: „Sosenka”. Czytelnik, 480 zł. Od wydawcy: „Pośmiertny wstrząsający w swej wymowie debiut literacki, oparty na przeżyciach autorki deportowanej w czasie wojny w głąb Związku Radzieckiego”.

Jan Tadeusz Małowski: „Przemienię”. Iskry, 600 zł. Wspomnienia z okresu II wojny.

BIOGRAFIE

Aleksandra Melbeckowska-Luty: „Widmo. Życie i twórczość Ludwika De Laveaux”. Ossolineum, 800 zł. Książka poświęcona jednemu z najbardziej utalentowa-

nych i frapujących malarzy polskich (wywodzącemu się z rodziny francuskiej, osiadłej w Polsce od XVIII w.) okresu modernizmu.

LITERATURA NAUKOWA
I POPULARNONAUKOWA

„Pradzieje ziem polskich” pod red. J. Kmiecńskiego, PWN, t. I, 1500 zł. Na następne tomy „Pradziejów...” księgarnie przyjmują zamówienia.

„Kultura żywego słowa w dawnej Polsce” pod red. H. Dziechcińskiej, PWN, 700 zł.

Andrzej M. Ziółkowski: „Filozofia René Descartesa”. Wiedza Powszechna, 550 zł.

K. Gumiński, P. Potęmski: „Elementy chemii teoretycznej”, PWN, 1500 zł.

SŁOWNIKI

Jan Stanisławski: „Wielki słownik polsko-angielski”. Wiedza Powszechna, 22 000 zł.

W. Piechocki, A. Wójcik: „Mini rozmówki francuskie”. Wiedza Powszechna, 200 zł.

PRZEWODNIKI, PORADNIKI

Stanisław Turski: „Kook i okolice”, WOIT, 450 zł.

Jerzy Pomianowski: „Jeżdżę samochodem bezpiecznie”, IWZZ, 800 zł.

Biruta Markusa-Bieniecka: „365 zap”. Wyd. Watra, 440 zł.

(Powyższy wybór pochodzi z księgarni nr 1 „Domek Kolański” w Lublinie przy Krak. Przedm. 68).

(z)

TV

Czwartek — 29 czerwca

Program I

8.50 Domator: Ostrzegamy
9.00 Kino Teleferii: „Vasco da Gama ze wsi Rupczca” (1) — serial fab. prod. bułgarskiej
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „Dempsey i Makepeace na tropie” — odc. ostatni pt. „Nieuchwytny zabójca” — serial krym. prod. ang.
16.25 Rolniczy film oświatowy: „Przegląd techniczny i diagnostyka ciągnika C-330”
16.45 Program dnia
16.50 Kalejdoskop — wojskowy program public.
17.15 Teleexpress
17.30 „Nocny ekspres do morderstwa” — film fab. prod. ang.
18.25 Z wiatrem i pod wiatr — magazyn żeglarski
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „Dempsey i Makepeace na tropie” — odc. ostatni pt. „Nieuchwytny zabójca” — 20.55 Kroniki PAT: Tak było...
21.10 Pegaz — magazyn aktualności kulturalnych
22.00 Wokół wielkiej sceny — magazyn operowy Piotra Nędzyskiego. Gośćmi programu będą: Regina Cerspin i Jadwiga Rappe
22.50 Dt — echa dnia
23.05 Jutro w programie

Program II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Strachy na lachy” — serial animowany prod. ang.
19.00 Magazyn „102”: Alibabki
19.30 „Świat roślin” — odc. 1 pt. „Galeria przodków” — serial przyr. TV CSRS
20.00 Wielki tenis
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino Studyjne „Dwójki”: „Wkrótce będzie koniec świata” — film fab. prod. jugosłowiańsko-francuskiej
23.00 — 23.05 Komentarz dnia

Piątek — 30 czerwca

Program I

8.50 Domator: Ostrzegamy
9.00 Zielone Teleferie
9.30 Kino Teleferii: „Arabella” (1) — serial fab. prod. CSRS
10.00 Dt — wiadomości
10.10 Dt — dodatek gospodarczy
10.25 Film fabularny
15.40 Domator: Przed weekendem
16.40 Program dnia
16.45 Intersygnal — magazyn państw Interwizji
17.15 Teleexpress
17.30 Film dokumentalny
18.10 Skarbiec — magazyn historyczny pod redakcją Lucyny Smolińskiej
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody Gapulki
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 Kino muzyczne Kyrnyńskiego: „Kumpel Joey” — film prod. USA

22.00 Kroniki PAT: Tak było...

22.15 Spór o jutro: Otwarte studio — program publicystyczny (na żywo)

23.15 Dt — echa dnia

23.30 Jutro w programie

23.35—0.35 Spór o jutro: Otwarte studio (ciąg dalszy)

Program II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
16.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
19.00 Magazyn „102”
19.30 Dookoła świata: Z globtroterami
20.00 Święto słowa — Swidnica '89
20.50 Brawo dla Zygmunta Latoszewskiego — magazyn muzyczny
21.30 Panorama dnia
21.45 Filmy z Humphreym Bogartem: „Kid Galahad” — prod. USA. Reż. Michael Curtiz; wyk.: Edward G. Robinson, Bette Davis, Wayne Morris
23.40 Komentarz dnia

Sobota — 1 lipca

Program I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii: „Fraggles” — serial prod. ang. oraz „Szaleństwa panny Ewy” (1) — „Pieskie życie” — film TVP
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze...
11.20 Azymut — wojskowy program public.
12.20 „Śladami Odysusza” — „Burza” — „Kraj lotofagów” — film dok. prod. franc.
13.00 Telewizyjny Teatr Prozy: Raymond Chandler — „Mówi Chandler”. Reż. Tomasz Zygałto; wyk.: Piotr Fronczewski, Krystyna Janda, Marcin Troński, Adam Ferency, Krzysztof Kolberger
15.05 Pałace polskie: Dobryca
15.35 Komedie, komedie, komedie...: „Mąż swojej żony”
17.05 Losowanie Dużego Lotka
17.15 Teleexpress
17.30 Prezydenci: Benjamin Harrison
18.00 Premie i premiery — recital Olgi Kormuchiny
18.30 Butik
19.00 Dobranoc: Przygód kilka wróbla Cwirka
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Poczta zoo
19.30 Dt
20.05 Sobotni seans filmowy: „Powrót rewolwerowca” — western prod. USA. Reż. James Neilson; wyk.: Robert Taylor, Ched Everett, Ana Martin
21.40 „Kłtyk western and company” — film dok. Krzysztofa Juśkiewicza
22.20 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielnor
22.30 Telewizyjny przegląd sportowy
23.00 Kino sensacji: „Coma” — film prod. USA. Reż. Michael Crichton; wyk.: Genevieve Bujold, Michael Douglas, Elisabeth Ashley
0.50 Zakończenie programu

Program II

15.00 Bariery
15.25 Powitanie

15.30 Małe kino: „Józef Chełmoński” — film dok. Piotra Słowikowskiego
16.05 5—10—15 — program dla dzieci i młodzieży
16.50 „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” (9) — „Ausrotten” — serial TVP
18.00 TELEWIZYJNA PANORAMA LUBELSKA
18.30 Lato w „Dwójce: Konwój
19.30 Muzyczny portret Ireny Dubiskiej
20.00 Marek i Michel — recital duetu fortepianowego (1)
20.50 Zespół adwokacki „Dyskrecja”: Żywiół wiosny i miętowych cukierków
21.30 Panorama dnia
21.45 „Chateaufallon” (8) — serial prod. franc.
22.40 Komentarz dnia

Niedziela — 2 lipca

Program I

8.40 Program dnia
8.45 Kino Teleferii: „Wódz Seminolów” — film prod. NRD
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Życie na planecie Ziemia” (4) — „Dach Alp” — serial dok. prod. franc.
11.25 Kraj za miastem
11.45 Telewizyjny koncert zyczeń
12.30 Opole '89 — Krajowa Scena Młodzieżowa
13.20 „Dopóki w sercach naszych” — film dok. Zygmunta Wiśniewskiego o Instytucie Władysława Sikorskiego w Londynie
14.50 Pieprz i wanilia: „Nieznany kraj”; „Czarna spuścizna”
15.35 „Katarzyna” (14) — serial prod. franc.
17.15 Teleexpress
17.30 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty
18.10 Antena
18.30 „Panna dziedziczka” (7) — serial prod. brazyl.
19.00 Wieczorynka: Tajemnica Wiklinowej Zatoki
19.30 Dt
20.05 „Ucieczka z miejsc ukochanych” (7) — serial TVP
21.05 Sportowa niedziela
21.35 7 dni — świat
22.05 Kinomania
22.40 Premiera po latach: „Wszystko jest poezją” — film dok. Andrzeja Brzozowskiego o Edwardzie Stachurze

Program II

11.25 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
12.00 Film dla niesłyszących: „Ucieczka z miejsc ukochanych” (7) — serial TVP
12.55 Magazyn lotniczy
13.25 Jutro poniedziałek
13.55 Powitanie — Kraków w „Dwójce”
14.00 Polska Kronika Filmowa
14.15 Dwie ojczyzny Jerzego Kosińskiego
15.20 Vivat Academia, czyli historia ASP
15.40 Wystawa roku — reportaż
16.00 Być modelem — wyznania najstarszej modelki
16.20 „Polacy”: Tadeusz Kantor — film dok. Krzysztofa Miklaszewskiego
17.00 Lato w „Dwójce”
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
18.55 Goście Daniela Pasenta: Mieczysław Mieszczankowski i Zbigniew Romaszewski
19.30 „Jan Szancenbach” — film dok. Andrzeja Gebera i Katarzyny Kotuli

20.00 Studio sport

21.00 „Zawsze w sobotę, czyli pamiętnik Piotra S.” — film dok. Andrzeja Maja i Krzysztofa Miklaszewskiego

21.30 Panorama dnia

21.45 „Wichry wojny” (16) — serial prod. USA

22.25 Aktu akt 1, 2 i 3 — program rozrywkowy

23.35 Komentarz dnia

Poniedziałek — 3 lipca

Program I

17.10 Program dnia
17.15 Teleexpress
17.30 „Czterdziestolatek” (1) — „Toast, czyli bliżej niż dalej” — serial TVP
18.25 Echa stadionów
18.50 Bez granic
19.00 Dobranoc: O czym mówi świerszcz
19.10 Gorące linie
19.30 Dt
20.05 Spektakl na bis: Jan Abramow-Newerly „Maestro”. Reż. Marek Nowicki; wyk.: Mieczysław Voit, Marzena Trybała, Marek Bargielowski, Jolanta Piątek, Paweł Nowisz, Zdzisław Mrożewski, Kalina Jędrusik, Gustaw Lutkiewicz, Krzysztof Majchrzak i inni
22.00 Kroniki PAT: Tak było...
22.15 Bajm na dachu — program rozrywkowy
22.45 Dt — echa dnia

Program II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.00 Ojczyzna — polszczyzna: Zdrow, pełen, pewien, gotów
19.15 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
19.30 Życie muzyczne — Festiwal Henryka Wieniawskiego — Szczawno-Zdrój '89
20.00 Teletrans
20.30 Osądźmy sami
21.15 Zamyslenia — program Halszki Wasilewskiej
21.30 Panorama dnia
21.45 Spotkanie z Piotrem Siwkiewiczem
22.00 Biografie: „Kino Carla Dreyera” cz. 1 — film dok. prod. duńsko-angielsko-zachodniemieckiej
23.00 Komentarz dnia

Wtorek — 4 lipca

Program I

8.50 Domator: Okno z pomysłem
9.00 Teleferie: Wakacje z Ikarem
9.35 Kino Teleferii: „Dziewczyna pirat” (3) — serial prod. NRD
10.00 Dt — wiadomości
10.10 Dt — dodatek gospodarczy
10.25 „Księżniczka Daisy” cz. 1 — melodramat prod. USA
17.10 Program dnia
17.15 Teleexpress
17.30 „Czterdziestolatek” (2) — „Walka z nałogiem, czyli labirynt” — serial TVP
18.20 „Być reporterem” — film dok. o Jerzym Lewczyńskim
18.50 Bez granic
19.00 Dobranoc: Przygody Bączka i Pączka
19.10 Stop — Telewizyjny Klub Konsumentów
19.30 Dt

20.05 „Księżniczka Daisy” cz. 1 — melodramat prod. USA. Reż. Waris Hussein; wyk.: Lindsay Wagner, Stacy Keach, Claudia Cardinale

21.35 Kroniki PAT: Tak było...

21.50 Konferencja prasowa rzecznika rządu

22.05 Zawsze po 21-szej — magazyn reporterów

22.45 Dt — echa dnia

Program II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Wojna domowa” (8) — „Wizyta starszej pani” — serial TVP
19.30 Blisko nieba — magazyn alpinistyczny
20.00 Non stop kolor: „David Bowie — szklany pajak” — film prod. amerykańsko-australijsko-angielskiej
21.00 Studio sport
21.30 Panorama dnia
21.45 „Dondula” — film TVP
22.40 Studio Solidarność
23.20 Komentarz dnia

Środa — 5 lipca

Program I

8.50 Domator: Kolorowa kuchnia
9.00 Teleferie najmłodszych: Zgadywanie na ekranie
9.30 Kino Teleferii: „Piaśkowy stworek” — „Pieniądze” — film prod. CSRS
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „Zawsze jesteś w sercu moim” — film fab. prod. rum.
16.40 Program dnia
16.45 Losowanie Express i Super Lotka
16.55 Telewizyjny informator wydawniczy
17.15 Teleexpress
17.30 „Czterdziestolatek” (3) — „Wpadnij, kiedy zechcesz, czyli bodźce stepione” — serial TVP
18.30 Z wiatrem i pod wiatr — magazyn żeglarski
18.50 Bez granic
19.00 Dobranoc: Kolorowy świat Pacyka
19.10 Bocznymi drogami — reportaż
19.30 Dt
20.05 „Kraksa” — dramat psychologiczny prod. wł.
21.50 Kroniki PAT: Tak było...
22.05 Studio sport
22.25 Spojrzenia — magazyn o państwach socjalistycznych
22.05 Dt — echa dnia

Program II

17.55 Program dnia
18.00 TELEWIZYJNA PANORAMA LUBELSKA
18.30 Świat festynów
19.00 Tokyo Music Festival '89
19.30 Mongolia — program dok.
20.00 Studio sport
20.30 Piękne głosy — Maria Olkisz
21.00 7 polskiej ziemi (1) — Wśród pionierów Ameryki — film dok. Andrzeja Chiczewskiego
21.30 Panorama dnia
21.50 „W labiryncie” (27) — serial TVP
22.20 Telewizja nocą
23.05 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciotek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawlużuk (kierownik działu reportaży), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportaży), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o numeracji na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0860-8830. Zam. 998. 16.08.1989 r. B.G.

NARÓD WYBRAŁ

DZIWNA rzecz: w pierwszej rundzie wyborów przy urnach nie stanęło aż 38 proc. „uprawnionych” obywateli, ale wyniki ogłoszono w imieniu Narodu. „Naród dał wyraz”. Naród, czyli te 62 proc. Stara to prawda, że nieobecni nie mają głosu. A zatem i racji. Gdyby 4 czerwca głosowało tylko 38 proc., a 62 nie poszło kreślić, to ci pierwsi by teraz uchodzili za Naród, a ich głos — za głos Narodu. Gdyby przyszło mniej, np. ledwo co piąty obywatel, to właśnie on, a nie pozostali czterej, uchodziliby w glorii Narodu.

A przecież te 38 proc. to w skali kraju ciężkie miliony ludzi. Ponieważ miliony to liczby dla niektórych wręcz abstrakcyjne w przeliczeniu na głowy ludzkie, na cizbę ramion i tułowi, to przyjrzyjmy się skali tej absencji wyinkowo, czyli lokalnie. Na przykład z wysokości Lublina, a ściślej Okręgu Wyborczego nr 55, obejmującego przyfabryczny Świdnik i ośmiennych gmin.

Uprawnionych — 345 tysięcy. Głosowało — 204 tys. A zatem aż 141 tysięcy pierwszą turę wyborów po prostu „olało” — mówiąc językiem młodych. Taka masa ludzka jest już wyobraźnia przestrzennie. Nie ma w Polsce, a może i w Europie, stadi-

Hen Spider

nu, który by pomieścił tylu kibiców.

A skoro tak, to nie wypada udawać, że ci ludzie mieli tego dnia coś arcyważnego do załatwienia poza Lublinem, wyjechali na daczę lub działki, po mszy wrócili na obiad, a po obiedzie zapadli w drzemki. Grubianstwem byłoby uznać, że nie zgłosiła się ciemna, niepatriotyczna, politycznie ambiwalentna masa, umysłowi leniwczy.

Kim zatem jest ten tajemniczy, więcej niż co trzeci obywatel? I pytanie następne, perspektywiczne, ale równie ważne, tyle że dopiero za cztery lata: za jakimi blokami, siłami, za jakimi partiami politycznymi opowie się on za te cztery lata? A może wtedy już pójdzie kreślić, ale jego miejsce zajmie ktoś inny?

Jeżeli więcej niż co trzeci wyborca nie stanął do apelu

mimo patriotycznego zadęcia z obydwu tym razem stron barykady, to jest to obojętność ostentacyjna i ostrzegawcza. Pod czym adresem? Kto to wie.

Trudno dziwić się, że obie strony zbywają tę absencję dość wstydlwym milczeniem, bagatelizują ją lub też powołują się na państwa zachodnie, gdzie niemal co trzeci nieobecny na wyborach, to normalka.

Gdyby do tych 38 dodać jeszcze 12 proc. — byłaby połowa. A to już klęska. Owszem, straszono nas klęską: jeśli nie przyjdziecie, zawali się „okrągły stół”, jego wiarygodność. Bo strachy przed wyborcami to nasza specjalność. Przez 40 lat straszono nas kierownikami kadr, jeśli nie pójdziemy. Teraz wiarygodnością politycznego kontraktu.

Więc kim jest ten co trzeci? Trzeba na początek z tych

38 proc. odjąć chorych oraz tych, którzy z racji wieku zobojętnieli na miłąk sprawę tego padolu. Plus minus — jakieś 5 proc. Pozostaje 33 proc.

Ilościowy rozdział motywacji elektoratu, który nie przyszedł, będąc jak najbardziej „na chodzie”, to gratka dla spekulantów politycznych, zwanych politologami. Różne łatki będą przypinać wagarowiczom. A to, że nie lubią władzy, partii i kartek mięsnych. Innym, że nie ufają już nikomu, mają gdzieś i rząd, i opozycję, jedna swolocz, prośzę pana, już się dogadują ponad naszymi głowami! Parę pełnych stadionów znudziła, wręcz zirytowała wojna plakatowa, jarmark, wolno-amerykanka, więc nie poszli. Kilka stadionów nie poszło, żeby zdyskredytować PZPR, kilka innych, żeby „Solidarność” nie wyobrażała sobie za wiele. Z pięć stadionów Dziesięciolecia dałoby się zapełnić zatwardziałymi samot-

nikami, anarchistami z urodzenia oraz duchowymi arystokratami, co wstrętem i pogardą napawają ich wszelkie odruchy stadne, w tym także wybory. Listę abnegatów zamykają ci, którzy nie głosują dla zasady, oraz tacy, co nie głosują na wszelki wypadek.

A co 4 czerwca porabił Hen Spider? Otóż poszedł głosować. Co ja mówię — pobię. Pomknął zaraz po mszy.

Ale tylko dlatego, że na pewnej, jednej jedynej liście miał jednego jedyne Faworyta, kandydata organicznego, wręcz sjamsko z nim związanego!

No właśnie: tysiące pobięgły dać głos na upatrzonych. Na koleżę, znajomka z pracy, z podwórka, z „drużyny”. Niewiele mu pomogli. Jeżeli był skazany na odstrzał, przepadł i tak. Ale nie zmienia to faktu, że poszli głosować tylko na niego i z jego powodu weszli do lokalu wyborczego.

I tak właśnie uzbiera się te 38 proc. Przypominam, że ten kapryśny ludek, prawie cała ludność Węgier, może za cztery lata dać głos Bóg wie komu. Niewykluczone, że na kogoś takiego, jak Hen Spider.

ROZWAŻANIA O MUZYCE O TRADYCJI I NOWOCZESNOŚCI

Mariusz Dubaj

WSZTUCE można zaobserwować dwie przeciwstawne tendencje o nadrzędnym znaczeniu. Pierwsza z nich, intensywne, prowadzi do zmian, przeobrażeń, nowości, odmienności. Druga zaś, ekstensywna, zmierza ku stabilizacji, zachowywaniu wzorów. Uzyskanie przewagi przez jedną z nich powoduje w efekcie upadek sztuki, gdyż pierwsza idzie w kierunku chaosu i destrukcji, druga zaś sprządza zasklepienie i stagnację.

Prawdziwe wartości rodzą się dopiero w wyniku oddziaływania na siebie obu tych przeciwstawnych tendencji, jak też równowagi między nimi. W ten sposób możliwy jest postęp, który odwołuje się do elementów tkwiących w przeszłości. Z kolei dorobek minionych epok znajduje twórcze rozwinięcie i kontynuację w osiągnięciach współczesności. Zadowoleni są twórcy, samorealizujący się skutecznie, jak też wykonawcy, dostrzegający nowe możliwości wypowiedzi artystycznej. Odbiorcy zaś nie muszą stale słuchać tych samych pozycji i mają szansę na odświeżenie muzycznego „menu”.

Czy realna sytuacja rzeczywiście jest tak optymistyczna? Otóż niestety nie jest. Twórcy współcześni nie zawsze odnajdują istotne i przekonujące artystycznie drogi kontynuacji sztuki. Wykonawcy zaś i słuchacze zasklepiają się w kregu muzyki minionych epok. W rezultacie

zerwana zostaje więź między tym, co nowe, a tym, co pochodzi z przeszłości.

Co gorsza, kompozytorzy zamykają się w „gettach” festiwali nowej muzyki, zaś wykonawcy wola grać nawet słabe, ale utrzymane w języku sprzed kilku stuleci utwory. Słuchacz z obu stron otrzymuje produkt, który może na wiele lat zniechęcić go do odbioru muzyki w ogóle.

Czy istnieją szanse na ewolucję tego stanu rzeczy? Sądzę, że potrzebna jest tutaj dobra wola i twórcze podejście do problemu ze strony profesjonalnej części środowiska. Z całą pewnością kompozytorzy nie mogą zapominać o potrzebach i możliwościach zarówno wykonawców, jak i publiczności. Byłoby dobrze, gdyby wykonawcy nabywali i z przekonaniem wykorzystywali nowe, choćby niekonwencjonalne środki wypowiedzi. Konieczne jest także, aby krytycy zdobyli się na więcej tolerancji, otwartości i pozytywnego zaangażowania w propagowanie tego wszystkiego, co nowe i wartościowe.

Czy odzyskamy w sztuce orzeźwiający powiew nowości, dodający nowych aromatów do starego wina tradycji? Odpowiedzi mogą udzielić sami artyści, ich dobra lub zła wola, rozważa, świadomość i konkretne poczynania. Jestem przekonany, że efekty, a w tym oddźwięk społeczny, nie kaza na siebie zbyt długo czekać.



Rysował Arkadiusz Derecki

W numerze 25. opublikujemy:

● POLSKA GOSPODARKA: POWYBORCZE SPEKULACJE ● CHŁOP NIŻEJ CHŁOPA NIE SPADNIE ● KTO SIĘ BOI INWALIDY? ● NA TROPIE AFERZYSTY ● ABORCJA: PRZECIW DEMAGOGII ● CO MARGUERITTE MYŚLI O POLSCE? ● W GANDAWIE ● LONDYŃSKIE SPOTKANIA ● CZY ZDĄŻYMY DO STANÓW ZJEDNOCZONYCH EUROPY? ● GORĄCE WILNO